Wspomnienia

Zeszyt II

Stefan [illegible]

Zeszyt II Pamiętników.

Do tanich sposobów zbierania fun-duszów na majówkę przybył potem odczyt Trylogii Bałuckiego pt. „Metamorfozy" odbyty w pewną niedzielę popołudniu za wstępem po 5 ct. Ze względu, że „Metamor-fozy" oparte były na żywocie studencko pro-fesorskim, w którym sparodyzowano wielu kolegów i belfrów, cała klasa stanęła w komplecie, mimo, że w sąsiedniej klasie odsiadywał kolega Stefan karę 8 godzin-nego aresztu za bilard, a p. R. często do niego zaglądał.

§ 42. Deputacya. Kiedy Gawron już doszedł do kwoty 150 guldenów i maj zawi-tał, deputacya złożona z pp. Leona, Bzy-kowskiego, Gutowskiego, Stefana i Stek-la udała się do kancelaryi dyrektora o uzyskanie pozwolenia na zdrową majówkę. Gdy deputacya znikła za drzwiami kancelaryi, cała klasa trapiona niepokojem stanęła /.

pod drzwiami podsłuchując i zaglądając przez dziurkę od klucza. Z początku szmer lekki – mowa p. Leo – potem nagle jakiś brzęk – to brzęk noży rzuconych na stół przez dyrektora – potem wielki głos –: Żadna majówka! żadne majalis! Ni, ni! dwa dni nie wolno! Potem znowu szmer lekki – układy i perswazye – potem crescendo i nagle otwarte są drzwi – deputacya wypadła jak z procy z zezwoleniem na jednodniową majówkę

§ 43. Majówka. Dnia 5 maja 1878 już o godz 5 rano ozełiwała garstka młodzianów zbrojnych w laski, pakunki na dworcu kolei oczekując przybycia p. R. i reszty uczniów. Pogoda jak zwykle na majówkę dość była nie pewną. Na szczęście o pół do 6. wyjechaliśmy zapełniwszy szczelnie 3 przedziały wagonu spię-

wając całą drogę. Wkrótce wpadliśmy w Krzeszowicach, gdzie obraliśmy chwilowo kwaterę w handlu Zawadzkiego i gdzie nas powitali wystawni dzieci pierwszej „gospodarze". Posiłkowiśmy się ponieważ ojciec z p. R. oglądać miejscowości podziwiając liczne tabliczki na każdym kroku ostrzegające, że czegoś nie wolno: tu nie wolno chodzić, tu jeździć, tu przystawać wozom, tu przechodzić, tu jeździć etc. Druga ojca zabawiała się u Zawadzkiego grą w bilard dopóki nie spostrzeżono przez okno wracającego p. R. Teraz gromadnie ruszyliśmy w drogę ku Czernej. Deszcz przestał kropić, droga oślizła, Głód już dokuczać nam zaczął, gdy po zwiedzeniu Kościoła i grobu Bła=Dobrego weszliśmy w dolinkę, wśród której ujrzeliśmy jak srebrzenie

/.

sunie szparko wóz w 2 koniki
zaprzężony, a na wózku spostrzegamy
samowar, beczkę z piwem, koszyki
z butelkami i różne tajemnicze
tłumoczki, których domniemana
treść ślinkę do gęby sprowadza, a wśród
tego siedzi Gawron i matka Ka-
pelusowa na powitanie. Szybko po-
biegliśmy razem do doliny, jak się
dowiedzieliśmy, S. Elżbieta nazwaną.
Tam nad źródełkiem stał pomnik,
zapewne temu zdrojowi poświęcony
i u stóp jego w mgnieniu oka wy-
suszyliśmy bezmała parę butelek, zni-
kła szynka i parę bochenków chleba.
Zaśpiewawszy ruszyliśmy w dalszą
drogę, wśród której spotkaliśmy
jakiś potok, — a Stefan krzyknąwszy
„Do ujrzenia nasz świat!“

J.

przeszedł go w bród — „Stefan, ile
się utopisz!" Wszyscy który widział
go brodzącego po kolana. „Non om-
nis moriar," Odrzekł bohatersko
Stefan i był już na drugiej stronie.
My jednak przeszliśmy suchą nogą
po kamieniach. Wypogodziło się nieco
szliśmy, szliśmy, aż nam za dużo
już było tego chodzenia — aż tu nagle
na zakręcie odkrywa się przed na-
szymi oczami ogromny staw
otoczony drzewami, od brzegu odbi-
ja tratwa z kilku naszymi pod-
poczkami — a tu do tego — odzywa
się muzyka grająca tryumfal-
nego marsza! To była niespodzian-
ka! Muzyka dodała nam skrzy-
deł do lotu — biegniemy ku
muzyce i znajdujemy się

J.

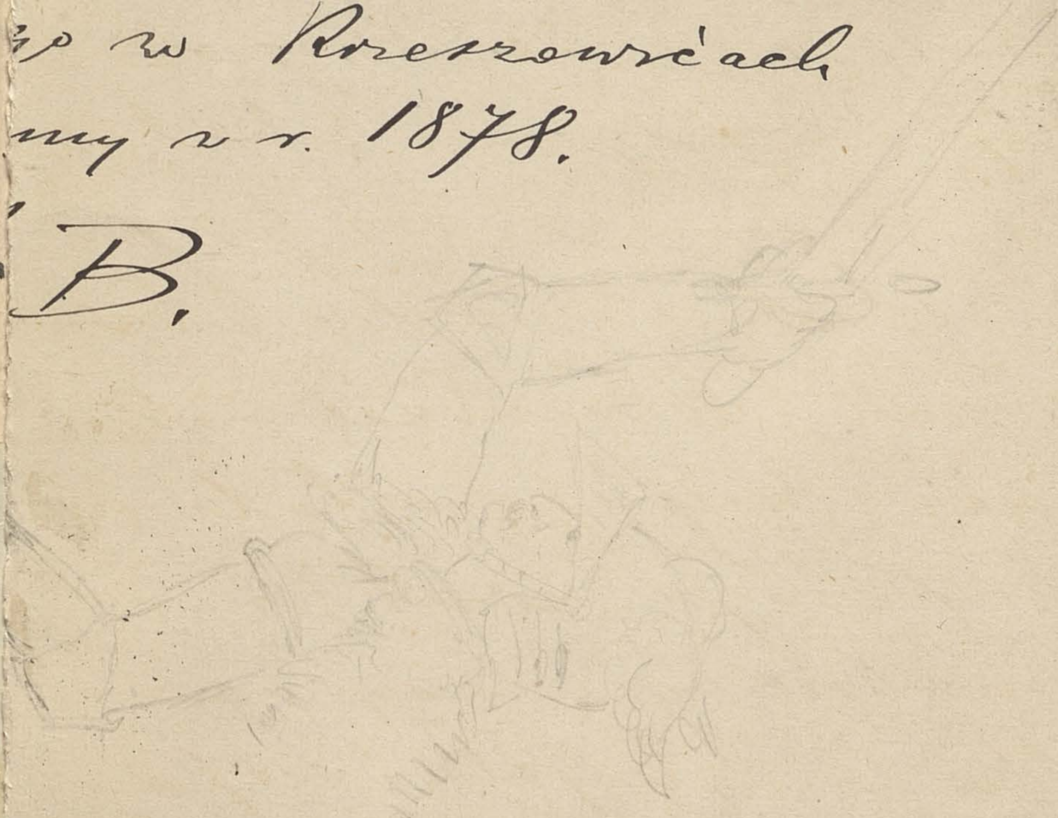
w altanie, w Dubiu, gdzie prócz muzyki stół przygotowany przez Kozaka, dobrze zastawiony. Wznieśliś-my zdrowie pana R. i p. R wzniósł nasze zdrowie i tak sprawując od czasu do czasu zajadaliśmy lub woziliśmy się w łódce po stawie do godz 3. Wracając usłyszeliśmy trzask z biczu i ku zdziwieniu naszemu się, ujrzeliśmy w nadjeżdżającej bryczce protektora majówek Ks. Nowi-skiego, który dla towarzystwa przywiózł ze sobą pp Kwiatkowskiego i Chylińskiego, wówczas suplentów gimnazyalnych. Ks. N. stanął na bryczce jak na kazalnicy i z podda-nym mu w rękę pucharem wina palnął do nas toast na cześć

naszą — potem zszedł z gośćmi z bryczki i zasiedli z nami w altanie do przekąski.

Gdy już słońce wskazywało czas do qt dziennego pobytu — przypomniał nam p. R. że czas się zabierać do powrotu. Po chwili już namówiliśmy się, aby spóźnić się na pociąg i przedłużyć sposobność na dzień na-stępny. Ks. Marcinkowski wszystkimi z tajemnicą rozpoczął ogromną mowę z arengą od stworzenia świa-ta zaczynającą, ale p. R. ciąg-nął go za rękaw raz, drugi, wresz-cie przerwał mu i kategorycznie nakazał odwrót. Radzi nie radzi najwolniejszym krokiem się wyszliśmy z powrotem. Ściemniało

się już rzepolenie, p. R. napominał ciągle do pośpiechu i krzyczał na woźn. Nie niezpokojeni my za nim dojdzie. niej na czas i gdy minął tor kolejowy, zapadła za jego wózkiem rogatka. Prędko, prędko wołał p. R. i otwarłszy głową bieżył na dworzec kolei i wskoczył do wagonu z belframi i paru uczniami – aż gdy pociąg ruszył, spostrzegł, że mu brakuje 5/6 owieczek! Krzyczał i chciał pociąg zatrzymać, a my, pozostali przy torze krzyknęliśmy: vivat! i poszliśmy do Zawadzkiego, gdzieśmy razem się bawili. Ale po namyśle i uspokojeniu zaczęła nam trochę skóra cierpnąć, co to będzie za awantura, gdy nas p. R. jutro w klasie nie zobaczy. Im dłużej rzecz rozbieraliśmy tem bardziej strach nas zbierał, aż

go w Krzeszowicach
uny r. r. 1878.
B.






K. B.

7

Nocleg w restauracyi Zawadzkiej
na majówce VII klasy Gr. A

K.



wreszcie rada w radę, postanowiliśmy
najęć fury wczesnym rankiem i zrzekli-
śmy się drugiego dnia majówki wrócić do
Wilany. Zamówiliśmy w nocy na 3ciej
rano fury i poszliśmy spać – ale jak!
pokładliśmy się na bokach, stołach,
słomkach na ziemi pokotem, a drugi
zmęczeni zasnęliśmy jednak. Po chwi-
li zbudzono nas – ciemna noc była
a tu furmani pukają w okno że czas
jechać. Nie wstawać, a tu Klemen-
sowi wszystkie buty i kamaszki
pomieszał i porozrzucał za uszy-dzwon-
kiem. Po długiem szarpaniu i szu-
kaniu zebraliśmy się wreszcie i, aby
nie budzić gospodarza niezadowolonego
już wczoraj o naszym rannym odę-
jeździe – oknem wyszliśmy na pole
i zajęliśmy 3 fury po kolkumastki.
Jeszcze słońce nie weszło, a byliśmy
w Rudawie, gdzie dzierżawca

a ojciec naszego współwinnego, Tras-
kowskiego, zastawił nam pod starą
lipą herbatę, mleko, chleb z masłem,
a pokrzepionych odesłał swymi końmi
mi do Krakowa. Trzaskając z bata
zajechaliśmy wprost przed gimna-
zjum o godz. 7 3/4, w sam czas — i
zajęliśmy w klasie miejsca, słucha-
jąc z trwogą opowiadania tych, któ-
rzy wczoraj z panem R. wrócili o jego
srogim gniewie.
Wtem otwarły się drzwi — wpadł
p. R. i stanął oniemiały zobaczyw-
szy wszystkie owieczki w ławkach.
— Wolne! Wolne! zawyliśmy wołać
czyli domagać się dnia wolnego po
majówce, przysługującego wedle pra-
wa zwyczajowego.
P. R. straciwszy kontenans nic
nie pytał — i puścił nas do domu.
Dopiero po namyśle zaczął do-

chodzić, czyśmy wódzili wczoraj się
dziś? i w tym celu przez cały następ-
ny miesiąc codzień jednego zostawiał
po nauce w klasie i prowadził indaga-
cye — nie dość tego do nowego pew-
nego przedstawił sprawę konferencyi
belfrów, która uchwaliła całej klasie
dać gorsze obyczaje o jeden stopień —
gospodarzom majówki o dwa stop-
nie — o ile sobie przypominam —
i na tem skończyła się ostatnia na-
sza gimnazyalna majówka. —

§ 44. Klasa ósma. Miesiąc
nauki po majówce, urozmaiconej
„Dyscypliną" wyrzucającą ten te-
mat, zakończył się nie długo, prędko
minęły wakacye i znowu ze-
szliśmy się w gimnazyum, na ostat-
ni, najcięższy rok nauki, z respek-
tem dla czekającej nas matury.

./.

Każdy uczeń ma zwykle pewną sła-
bą stronę i tą się najbardziej obawia.
Przeważnie byliśmy słabi w matema-
tyce, mając dotąd niedołężnych
preceptorów do tego przedmiotu. A tu
właśnie do matematyki dano nam
nowego belfra, p. Jaworogrewicza.

P. R. wprowadził go na katedrę
i przedstawił nam. Pan ten — z głębo-
kiej przewinący w obcisłych granato-
wych spodniach, żółtej kamizelce
krótkim żakieciku, czarną brodą, ska-
czący po gradusce ze srogą miną, nie
podobał nam się od razu. Wkrótce
oczywiście spostrzegł nasze braki w
matematyce i zamierzał nam pomóc
powtórzyć coś, poważ, pośród nas stra-
szyć maturą i grozić siódemkami.
Zamożniejsi brali sobie prywatne
lekcje matematyki od jakiegoś
filozofa — ja z Klemensiewiczem
zaczęliśmy całemi nocami studyować

kazałby Monika i na drugiej klasie zielonej, zamazać tablicę, pisać kredą wzory i zadania .... nieraz do 3 i 4 godziny rano.

Inne godziny szły w dotychczasowym sposobie — z Molnierem ukończyliśmy już w VII klasie cały podręcznik, a w VIII z dobrej woli na jego zachętę zaczęliśmy nieobowiązkową wówczas literaturę niemiecką XIX wieku po Goethem.

P. R. mordował nas Sofoklesem i Horacym, a gruntowne rozbiory każdego słowa i przyimka, formy, skandowania tak nam zabijały głowę pobocznemi bagatelami formalistycznemi, że streścić całą tragedyę lub odę żadenby nie potrafił, bo nim doszedł do końca to początek dawno zapomniał.

Pod wpływem tych studyów napisałem klasyczną tragedyę opartą na koszu który prof. Z. otrzymał od panny T. pod tytułem „Ifis", którą kawałek tylko

/.

ocalał.

„Ifis"

Tragedya z dziejów nowożytnych

Osoby

Molinos — Ifis córka — Jeftes kupiec

Z. . . . . — R. . . . . — Jeftides syn

Flora — Horos — Herge, matka

Ὑπόκειται ὧδε. Ἡ Ἴφις ἐστὶ ἡ νῦν τοῦ Ρ.... γύνη. Ἡ σκηνὴ ἐστὶ ἐν Κρακόφῳ ἐπὶ A–B przed domem Jeftesa ojca Flory i Ifidy. ὁ δὲ Χορὸς συνέστηκεν ἐξ ἐπιχωρίων παρθένων. Προλογίζει δὲ ὁ Μόλινος.

Prolog

Molinos i Z.

Molinos: O Synu tego co niegdyś wśród Tatr
Nad rzekami przepaściami
Gdy szumiał wiatr
Pasał trzodę.—
Patrz! oto δῶμα Jeftidów τόδε!

Z.... Kochany Molinie
Okazujesz w czynie,
Że sprzyjasz mi, jak nikomu —
Wejdź więc do środka domu,
I zobacz oczyma,
Kto jest, a kogo nie ma,
O tem jak dowiesz się,
Doniesiesz mnie,
Jak w Delfach nakazano
Tak będzie wykonano.

Ifis (za sceną) I, o! moj! moj!

Mol. Zda mi się, że ktoś jęczy.

Z.... Coś ci w uszach brzęczy
Idź, już rzeczy nie zwlekam,
Na rynku wieści czekam
Trzeba raz skończyć rzecz
Więc dalej do domu idź precz!
(odchodzą)

Kommos

Ifis I! moi! moi!
O nieszczęsliwam, oj, oj!
Kiedyż skończy tę mękę?
Z.... ten mędrzec, chce moją rękę?

A R.... wciąż zwleka!

Chór Boi się kosza, więc czeka!
Nie umie się, nie!

Ifis. O drzewce szlachetne!
Widzisz mnie ἄνυμφε, ἄτεκνε,
A lat sporo mam!

Chór O tem nie mów nam!
Tak się zobaczy
To się oświadczy

. . . .

. . . .

Reszta rękopisu zginęła.

* * *

Na tem skończyłem „Kronikę" — a chcę ją uzupełnić późniejszymi dziejami własnymi i kolegów, mniej szczegółowo bo tylko z pamięci po 20 latach dopisuję wspomnienia....

* * *

Zapowiedziano nam maturę na 3

czerwca 1879. Dotychczas w ostatnich lat
mając po [illegible] przedmioty, z których
kto czuł się słabszym. Tymczasem przedtem
musiała być piśmienna matura.

Od dawna istniał zwyczaj, że słabsi
— a czasem i najlepsi uczniowie z obawy — za-
mawiali sobie piśmienne wygotowania za-
dań maturycznych u korepetytorów,
słuchaczów filozofii i t. p. nawet u lepszych
uczniów VIII klasy, a rozmaitemi tajem-
nemi drogami wysyłano temat z klasy
i potrzebnemi drogami odbierano z zewnątrz
wygotowane zadania po jakich 2 godzi-
nach. Wiedziano o tem i w sferach pro-
fesorskich i mimo pilnowania, za-
mykania klasy i budynku, zadania
zawsze nadchodziły. I myśmy się zajęli
taką asekuracyą — choć, jak się
potem przekonałem, nie ma to naj-
mniejszego sensu i celu, nawet dla
najsłabszych uczni, bo i tacy po cichu

od lepszego ucznia z tej samej klasy do-
stanie jakąś taką pomoc, a zadania
przychodzące z zewnątrz „z pracowni" nie
są funta kłaków warte, bo taki filozof
po kilku latach sam wiele zapomniał
i pisze albo banialuki, albo błędy robi,
chyba jaki specyalista, a taki może dojść
z łatwością zadania zwracać obcą robotę.
Niektóre zadania zebrane przez jakichś
prawników i medyków wprost były komicz-
ne i nie do czytania. Jedno matematyczne
zadanie, jako wspólne dla całej klasy
które mogło mieć wartość jeżeli je
dobry matematyk nadesłał, ale inne
zupełnie były zbyteczne.

Ale strach ma wielkie oczy – więc
i my zadośćuczynimy pracowni. Plan
– który się udał – był taki: – gdy nam
ogłoszono zebranym w klasie temat za-
dania, napisano go na czwartce pa-
pieru i przez wyjętą szybę niespostrzeżenie

wyrzucono. Na dole czekali już za-
mówieni studenci z wyższych klas i
korepetytorzy którzy jeden wnieśli temat
na ulicę Szewską, gdzie najęto 2 pokoje
zastawiono stolikami, stołami, kała-
marzami, papierem, kalkami papie-
rosami. Tam w dymie papierosów
korepetytorzy i przyjaciele prawnicy,
medycy, fotografi itp. robili zada-
nia. Na ścianie wisiał spis ma-
turzystów z dodatkiem pseudonimu
przy każdem nazwisku np. Krotkow-
ski = Dyogenes, Latosiński = Cycero
i.t.d. a zadania adresowano pseu-
donimem — aby w razie złapania
zadań, adres nie zdradził ucznia.
Gdy około godziny 10 1/2–11 zadania były
gotowe, zabierał je jeden związane
sznurkiem w paczkę i rzucał przez
okienko do piwnicy gimnazyalnej.

W piwnicy czuwał będący w zmowie z maturzystami stróż i głośnem rąbaniem drzewa na dziedzińcu dawał sygnał, że zadania nadeszły. Wówczas jeden z lepszych uczniów, który sam zrobił zadanie i nie potrzebował się bać podejrzeń, wychodził z klasy niby dla naturalnej potrzeby i wracając przynosił w kieszeni paczkę nadeszłych z piwnicy zadań i po chwili po cichu pod ławkami otrzymywali Dyogenes, Cycero, Arystydes i t. d. swoje zadania.

Gdyśmy się zeszli na maturę piśmienną w klasie, byliśmy dobrze bladzi i niespokojni. Słabsi zerkali na okno, czy szyba dobrze wyjęta, czy dyrektor nie widział, czy temat dojdzie do pracowni. Obmyślano duplikat tematu, gdyby wysłanie przew-

szczęście się nie udało — w tem wszedł Dy-
rektor i pokazawszy mówkę, aby się nie
oglądać na zewnętrzną pomoc, która
nie może nadejść, bo kazał drzwi od
gimnazyum zamknąć, dobył kopertę
i z uszanowaniem, jako rzecz od wyż-
szej władzy — Rady Szkolnej — podniósł
do góry, rozciął nożyczkami i odczytał:
„Znaczenie Dunaju dla Europy
w przebiegu historycznym"! Tak było
po kolei w następnych dniach z zadaniem polskiem, nie-
mieckiem, łacińskiem greckiem i
matematycznem, a po odczytaniu tema-
tu zwykle robiło się nam lżej na
sercu, widząc, że przecież zadanie
nie jest niemożliwą okropnością! —
i djabeł nie taki czarny, jak go ma-
lują.

Zadania wypadły dobrze — tyl-
ko matematyczne — naturalnie — naj-

/

gorzej. P. Jamrożewicz krótko zdefinio-
wał to zadanie: „Kółka robiła sa-
mych i zrobili krzepko, z reszty poło-
wa odpisała od wszystkich, drugą połowa
od niewiadomego autora”.

Do ustnej matury zasiadaliśmy
po szczęściu, pozbywszy się „forcugów” - się,
dałem się w pierwszej partyi z Leonem,
Antoszkiem, Stefanem, Gosławskim i kimś
jeszcze. Drżałem tylko przed matematyką.
Mokrin, który nas uczył od 3 klasy, i
choć od 2 lat nie był gospodarzem, uwa-
żał za naszego przewodnika, zasiadł
w ostatniej ławce, aby słyszeć swych
pierwszych maturzystów.

Zaczęło od – matematyki. Ucieszyłem
się tem, że od razu przejdę najtrudniejszy
ogień, jeżeli ten przejdę, to już dobrze!
Kazano nam po niemiecku zdawać
matematykę! A my ani wyobraże-
nia nie mieliśmy, jak się może po

niemiecku nazywać przeciwprostokąt-
nia, potęga, średnica, odcinek i tp.! Za-
częło się więc takie stękanie, że inspek-
tor jęknął: „Coś z niemieckiem bardzo
słabo!" — Na to rozległo się w sali
z ostatniej ławki: ha! ha! ha! To Molin
rozśmiał się z tego, wiedząc, że po za
technicznymi wyrazami, klasa na-
sza była najlepszą w niemieckim. Ka-
zano mnie więc po polsku matematy-
kować — i poszło bardzo dobrze! Wypro-
wadziłem na tablicy wzór Newtona
i kazano mi usiąść — siadłem — ale
jakby na stu koni, taki byłem kon-
tent. O resztę byłem spokojny. Jeden
Stefan, „zwyt" z matematyki", Reszta
poszła zupełnie gładko — gdy przyszło
do niemieckiego, Molin [illegible] i
wystąpił pod tablicę zaczerwieniony
ze wzruszenia, jakby sam miał
y.

cytaniu składać. Gdy inspektor za-
pytał o domową lekturę z niemieckiego
każdy prawie wyliczył ganzen Goethe
ganzen Schiller, Heine, Grillparzer
etc. Inspektor aż oczy otworzył, a Mo-
lin niemczurzyły dodał, że klasa
dobrowolnie przestudyowała z nim li-
teraturę niemiecką aż do ostatnich
czasów – a po odpowiedziach ~~wszyscy~~ egzaminatorowie
powtórzyli kolektywnie: bardzo do-
bre, bardzo dobre; podobnie literatura
polska od najdrobniejszych szczegó-
łów i do współczesnych pisarzy była
nam dobrze znaną.

Wreszcie ogłoszono nam wyniki
z postępem celującym. Wyszliśmy u-
radowani, biedni koledzy, którzy
dopiero w następnych dniach mieli
zdawać z zazdrością nam gratulo-
wali wracając zaraz do domu, aby
uczyć dalej. Nam się zdawało, że

Pieśni

maturyczne

Śpiew łabędzi

K. B.

ofiarowany

kolegom z życzeniem

jaknajszczęśliwszego i naj-

prędszego

opuszczenia

ochrony

Nowodworskiej:

1879.

Glossa

W czasie matury nauczy-
ciele krzątali się koło gimna-
zjum, raz że mieli tam
znajomych uczniów, drugi
raz że rodzice maturzysty
prosili o protegowanie —
a chłopaki widząc ich
koło budynku podpatrywali
zaraz, że pilnują, aby te-
mat zadania nie wyszedł
za budynek i aby zadanie
na ten temat za budynkiem
rozwiązane, nie dostało się
do gimnaz — stąd chłopaki
wierzą w wtajemniczenie nau-
czycieli obwiniali o to

polegantowanie –
tego to zapatrywania
owocem jest wszystko. T. II
Brodny Czubek dostał
się niewinnie do ~~też~~
zeszyta II bo sama
tak głosiła studentu
ale oczywiście bez dowodu.

Bal

19

I.

Tam na błoniu tysiący kwiecie,
Stoi belfer na wdecie,
Niedaleko przy przewięcie
Palcami nos sobie gniecie.

A wy o tem dobrze wiecie
Jak tam djablo śmierdzi w lecie
Nie dziwcie się wcale przecie,
Że palcami nos gniecie.
W tem coś błysło w okna dziurze,
Spojrzy belfer tam ku górze:
Temat z góry na dół leci,
Za nim drugi, wreszcie trzeci.
~~Chciwie [illegible] papier chwyta,~~
~~Chciwem okiem chciwie czyta~~
Temat z okna na dół spada,
Biada jemu, trzykroć biada!
Chciwie belfer papier chwyta
Chciwem okiem, chciwie czyta
Lecz cóż jego twarz tak blada?
[illegible] tak pan spada?
Tę treść miało to pisanie:
„Pocałuj się w nos gałganie!

F belfer
F belfer

II

2.

Nad starem biórem dumał Dyrdas stary,
Co się to dzieje, ach to nie do wiary!
Na nie i jego, i belfrów starania
Bo maturalne przychodzą żądania

Tak dumał Dyrdas, Czubka wołać kazał
Jego pod oknem postawi na straże
Poszedł tam Czubek i z wielką ochotą
Stał chociaż błoto.

Patrzał do góry, z parasolem chodził,
Lecz nadaremnie drogi czas uchodził
Nie bez kartki, okna są zamknięte
Powietrze słotne, niech będzie przeklęte

Do góry patrzał, w górę patrząc stąpał
I w okna patrząc, w błocie się ukąpał
Spojrzy na nogi — okno się odmyk[a]
I temat fika.

Na hałas w górę Czubek spojrzy zaraz
Lecz już temat, jakiś chłopak znalazł
Biegnie Czubek zasmuconym na twarz[y]
wyrazem,
Nim dobiegł bramy — wzięty te[n]
kałamarzem

Epigramy:
(Ksenia)

Steiermark:

Wszystkiem nasz May kochany
Na Steiermarka taki wpływ wywiera,
Iż ten, choćby... zasmarkany,
Tylko wraz z Mayem nosek swój
uciera.

Zacharjasz:

Gątowski do porządku taki pociąg czuje,
Że, wleź mu na but, palcami kurz
strzepuje.

~~[illegible]~~ Ktoś:

Głupstwem jest rozum, nadmiar
pamięć przygoda,
Zresztą to wszystko zastąpi mu
broda.

Har:

Żeś gotowszy do Boga nieść skargi.
Lecz jako marchew, ma ~~[illegible]~~
twojej wargi.

Treny papugi:

Zgon mój w przysłowiach —
rzekła papuga — już czuję —
Bo mię Saskiewicz wkrótce
zakasuje.

Tobiasz i Michcio:

Gdzie dwa całość stanowią,
tam jeden połowę.
Tobiasz z Michciem jedną
tworzą głowę
Tedy z nich oczywiście —
każdy jest półgłówkiem;
Nie gniewajcie się, gdy was
ostrem dotknę słówkiem.

Na domu pod N. 212

przy ulicy Siewskiéj:¹)

Przechodniu, kornie uchyl
tutaj głowę,
Bo tu wdał każdy natury
połowę.

¹) Tu robiono zatamne dla maturzystów
1879 r.

Do Dyrektora:

Pociesz się: żyjąc „Krzyża” nie
dostaniesz może,
Ale po śmierci, na grób, pewnie,
Dyrektorze!

Tren abiturjenta.

Na nic mi złoto, na nic mi talary,
Póki mię z greki dręczy Szypel stary,
Ach ta matura, jak miecz Damoklesa,
Wisi nademną, a niech ją!.. do biesa!
Na nic mi złoto, na nic mi talary,
Ta Historyja prowadzi na mary.
Kuj starożytną, średnią, austryacką!
O! bodaj się zwinąć z tą maturą gracko!
Na nic mi złoto, na nic mi talary
Bo i matematyki dręczy mię bez miary!
Ach te dowody, te analityki;
I różne głupstwa z tej mądrej Fizyki!
Nie mi dukaty, guldeny, talary,
Marki, szterlingi, ruble et caetera!
Lecz po maturze, dajcie ich bez miary,
Wtedy to człowiek ich nie poniewiera!

5.

Nie takto illo tempore bywało
Mości kolego, raczny mój sąsiedzie,
Gdy za Lewają w kozie się siedziało
Zamiast być w domu na do-
brym obiedzie.

Nie takto illo tempore bywało,
Gdy pod Kołeckim wszystko
w klasie drżało
Nie tak za Świdra, ani za Molina,
Płynęła życia nam nędznie godzina
Później nam gorzej niż dawniej
bywało
Gdy się na starość podkypla dostało
Nie wolno było iść nam do Zaręby,
Gdzie tłuką kijem bilardowym
zęby.

O nie tak illo tempore bywało
Gdy się ze Żukiem awantury
miało!
Wara od wiedzy tobie Dyktarskiego,
Wielanda, lorda Cattro Okrzewińskiego!

Tak kto kolegę, zacny mój serdecznie,
Po uszy biedzi się dzielnie w biedzie
Warać w rotundzie pod [illegible] najświeższe,
Aż z przyjaciołmi zrobi w [illegible]lard sztosa!

Dziś my już wolni są na wolnej nodze,
Żaden nam Szypel już nie stanie w drodze,
Możesz już szpalty, ~~dymnie~~, ~~smrodzie~~ chowie z łaską hulać;
Możesz z radości wiwem się ululać!

6.

Za Wisłę het precz.
Dalejże hej żywo,
Tam kręgle i piwo
Za Wisłę het precz.
Za Wisłę, za Wisłę, i po coż za Wisłę
Czyż nie ma tu bliżej kręgielni w Krakowie?
Zapytaj Stefana, on ci dobrze powie
Nie szukaj za Wisłą, bo znajdziesz przed Wisłą.

Za Wisłę hej tam!
Chłopaki hej chrobre
Tam kręgle są dobre
Ja dobrze je znam!
Kiedy więc ty je znasz, więc
idziem za tobą!
Przez belfry nam z oczu, nie ~~[illegible]~~
krajcie nam chwili,
Szczęśliwi jesteśmy żeśmy was
rzucili —
Hej na przód, za Wisłę Stefanie
za tobą!

Czego chcesz od nas Panie, za Twe
hojne dary?
Z domu niewoli, jako niegdyś Iz-
raela
Tyś nas wywiódł, i dary obsypał
tak wiele!

23

Pieśń majówkowa.

Dzień zawitał wesoły
Tak dziś rzadki dla szkoły
Ach!
Dziś już w klasie nie siedzisz
Ni nową książkę się biedzisz
Nie!
Ani rem pro Milone
Scriptam a Cicerone
Nie!
Nie męczy nie greckiego
Łacińskiego polskiego
O!
Preparacyj dziś nie trza
Lecz świeżego powietrza
Nam.
Więc wesoły, szczęśliwy
Idź przez lasy i niwy!
Het!
Dalej idźmy wszyscy w skok
Bo majówka raz na rok
Raz!
Więc bawmy się wesoło
Pokiśmy się za szkołą!
Tak!

świat zdobyliśmy!

Nazajutrz byliśmy znowu w gimnazjum, aby śledzić losy dalszych partyj zdających kolegów.

Tak po kolei zdawali wszyscy, przeszliśmy przez to „piekło" — tylko coś dwóch dostało poprawkę.

Gdy już wszyscy zdali, rozpoczęły się radosne uroczystości: już każda partya po zdaniu odbywała skromną ucztę przy piwie i „wiktuałach"; wszystkie partye zaś zgromadziły się z p. Malinem w sali hotelu Kleina, gdzieśmy ucztowali do późnej nocy wśród śpiewów i okolicznościowych oracyj. Potem wizytowaliśmy profesorów i doręczyliśmy im zbiorową fotografię — z wyjątkiem Jamrógiewicza, który koniecznie chciał „ściąć" z matematyki Stefana, celującego w innych przedmiotach nauki, czego nie mogliśmy ./.

przebaczyć.

Odtąd rozeszły się drogi kolegów, wie-
lu od owej chwili więcej nie widziałem.
Rzecz dziwna, że nawet ci, którzy w
Krakowie zostali, rozdzieleni na roz-
maite wydziały, stracili czucie z sobą.
Ławki uniwersyteckie nie sprzyjały
jakoś łączności. Zawiązywały się nowe
przyjaźnie wedle skłonności, upo-
dobań, wspólności studyów, dawne zna-
jomości słabły, nowe ograniczały się
do szczuplejszych kółek, ale silniej związ-
zanych.

Wakacye po maturze były jedną z
najszczęśliwszych naszych epok życia: zda-
wało nam się, że już przebyliśmy najwięk-
sze trudności, że już jesteśmy poważnymi o-
bywatelami.

W jesieni zaczęliśmy się zapisywać
na uniwersytet.

Naprzód zameldowania niosłem do ki-

Wizyta w gimnazyum.

Wbiegam — i okiem chciwem ściany starodawne
Oglądam całe, jako swe znajome dawne!
Wszystko dobre znajome! Wszystko tak jak było —
Tylko się ku starości nieco pochyliło.
I w gmach objęty w koło nocne cienie,
Jak na cmentarzu w półmroku —
Gdzie dawniej krzyk współuczniów ~~pokute~~ milczenie.
Teraz — pustka, noc, cichość — budzie nie zagłuszy;
Cicho i ciemno — ani żywej duszy!
czasem ~~[illegible]~~ gwiazdy błysną —
~~Dawne~~ wspomnienia gwałtem do głowy się cisną —
Siadłem wsparłem na ręku czoło zadumane
Wodze puściłem myślom w te czasy kochane,
W dawne młodości krainy pamiątek!
~~Każdy miłem wspomnieniem~~ zapełniony kątek!
Tu każdy kamień, cegła przypomni tak wiele:
Stają na myśli dawni nasi przyjaciele...
Stają przede mną dawne przełożeni w dziadła
Krew w serce zbiega — czuję jak mi twarz
pobladła!

. . . .

Gdzieżeście dzisiaj dawni towarzysze?
Los was rozproszył w różne strony świata.
O wiem... mnie więcej nie usłyszę —
Od innych — długie mnie dzielą lata!

Lecz rozdzieleni – przecieżeśmy razem:
Miłość nas łączy i dawne wspomnienia:
Miłości zatem pozdrawiam wyrazem:
„Na tym czy drugim świecie – Do widzenia."

Kraków 28/4 1880. —

storyi i literatury – ale być belfrem! Nie.
O teologii mowy nie było. Medycyna mi się podobała, ale nabrałem wstrętu do krajania trupów. Na technikę też – za mało umiałem matematyki i geometryi – pozostało więc prawo.

Poszedłem za wskazówką kolegów i w Collegium Novum kupiłem indeks, z pomocą i poradą rozmaitych towarzyszy niedoli wybrałem wykłady i w kwesturze zapisany zostałem na wydział prawa i administracyi, ta druga gałęź nauki była mi niezrozumiałą i z góry mi się nie podobała.

Następnie należało zostać właściwym „akademikiem" t.j. zapisać się do „Czytelni Akademickiej". Zarekomendowany przez Jerzyka udałem się na ulicę Wiślną i tam wniosłem wpisowe do „Czytelni".

W pierwszym pokoju na prawo stała olbrzymia szafa, przy niej biórko, przed-

./.

niem
ogromny stołek, na którym siedział tęgi pan w okularach czytając gazetę, sprzedając papierosy, bilety teatralne, i przyjmując wpisy, wkładki. Gdy objaśniłem mu mój zamiar, podał mi rękę, którą z szacunkiem uścisnąłem, wymienił swe nazwisko: Albinowski i zapytał: Jak nazwisko Kolegi? Zaraz. Proszę kolegi, tak... reszta... proszę legitymację — niech kolega się rozgości...

P. Albinowski, którego właśnie poznałem i za wysokiego dygnitarza akademickiego uważałem — był rówieśnikiem moim, bo zdał maturę równo, owszem, tylko u Św. Jacka, ale zaraz po maturze zapisał się do Czytelni i w czasie wakacji powierzono mu zaszczytny obowiązek zastępstwa członka wydziału, który on też z dumą i pokorą wypełniał — przez całe lata potem zresztą,

zaawansowawszy z czasem na szere-
gowego członka wydziału, gospodarza,
podskarbiego a wreszcie wice-prezesa.
Nieśmiało poszedłem na lewo, gdzie
w drugiej sali zakopconej dymem pa-
pierosów kilku „Kolegów" czytało gazety,
koło ogromnego stołu zawalonego znacz-
ną ilością gazet. Nie wiedząc, co z sobą zro-
bić usiadłem przy stole i niby czytając
gazetę rozglądałem się i słuchałem. Na
ścianach ujrzałem biusty Mickiewicza,
Kopernika i Majera prezesa Akad. Umiej.
szkice obrazów Matejki, premie Sztuk P.
Zegar tykający, fortepian pod nim, kupa
stolików. Pod oknem grają „Koledzy" — za-
uważyłem, że był to urzędowy tytuł „Ko-
lega", którym do siebie przemawiano —
grali w szachy, spierając się co chwila
o cofanie pociągniętej figury. W trzecim
pokoju, węższym, dłuższym, stało 6 drze-

y.

zych szaf oszklonych z książkami. Po pa-
ru wizytach w Czytelni zpoznajomiłem
się już z całymi tuzinami „kolegów" star-
szych i młodszych, zapisano mnie do Kółka
krakowskiego, słowem, oświeciłem się nieco
i oswoiłem z godnością „akademika".

Wkrótce odbyło się Walne Zgroma-
dzenie Czytelni. Około 200–250 „kole-
gów" zapełniło salę w Collegium Physi-
cum, i z przejęciem się, jakby szło o losy
Europy, radziło Walne od 10 rano do 2 i
od 3 do 9 wieczór! Najpierw przyszło pro-
tokół, potem krytykowano różne
sprawozdanie, następnie wnoszono mnó-
stwo wniosków de reformanda republica
in capite et in membris, wreszcie
rzucono się na [illegible], gdy „Kolega"
Rogalski wniósł nadanie godności
członka honorowego posłowi Hausne-
rowi za jakąś nową mowę w parla-

mencie. Nie byłem ani konserwatystą ani liberałem, nie znałem się wówczas na stronnictwach politycznych, bo choć od maleńkości czytałem gazety, to interesowałem się głównie faktami i pozytywnymi wynikami zdającemi się mieć szanse powodzenia — głosowałem bez znajomości partyi, z partyą „konserwatywną”.

Wychowałem się nie w niedostatku, ale wśród wysiłku pracy rodziców, ich starań, kłopotów i zabiegów, sam im pomagałem w rachunkach, nabrałem więc wyobrażenia o wartości pracy, i ciężarach codziennego życia; wszystko, co nie miało realnej podstawy, udawało się, wszelkie ryzyko, trwożyło mnie, nie przyłożyłbym ręki do niczego, cobym uważał za nieprowadzące wprost do jakiegoś pożytecznego celu. Byłem

takim realistą, że wszelkie powieści dramata i komedye grzeczne nie prawdopodobieństwem, romantyzmem uważałem za bzdurstwa i zabawki — o ile nie mogły bawić lub interesować choć nieco intrygą ⸆ —. Szumne mówki projekta, wnioski „Kolegów" na owym walnym Sejmie, o ile zdradzały przesadę, manię wielkości, nadstawianie nogi przez żabę do konia, lub o ile z góry wydawały się nieco śmiesznymi, raziły mnie. Ponieważ partya, zwana „postępową" w Czytelni, zawsze miała zapas wniosków godnych parlamentu lub sejmu, a nie zgromadzenia studenckiego, albo wniosków niepraktycznych, lecz tylko dla demonstracyi, przeto zaraz od początku czułem się jej przeciwnikiem i zazwyczaj przez cały czas studyów nie wspólnie głosowałem z partyą

⸆ bo wtedy uważałem je przynajmniej za zabawkę ⸆

37

1879 r.

Kantata na cześć Kraszewskiego

Słowa Asnyka

Muzyka Żeleńskiego, na chór.

Chór.

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy,
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zdobyć wiano,
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą piersią własną,
Wykarmił całe pokolenia,
I wytknął dla nich drogę jasną
I w nowych jutrzniach co nie gasną
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą,
I walcząc w ciszy i pokoju,
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Nie zaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięztw z dłoni
Nie wydrze ramie mu niczyje —
Burza go nieszczęść nie dogoni —
On wyszedł z ciemnej losów toni
I nieśmiertelny w sercach żyje.

Solo.

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci,
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodem
Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona
A ludzkość ze czcią ich imiona
Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

Chór.

Więc w uroczystym dziś obchodzie,
Wielkiego męża czcijmy święto,
W bratniej miłości, w bratniej zgodzie,
Nieś mu życzenia swe Narodzie,
Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie,
I zbiera owoc swoich trudów,
W wielkich zdobywców stojąc rzędzie,
Niechaj Ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której zwolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie;
A czyn zamknięty dotąd w słowie
Najmilszą będzie mu nagrodą.

nazywany „Konserwatystami", między którymi nie brakło tak samo „Kolegów" pożyjących na wzór stanu, potykaków i szumnych wierzchodawców, których tak samo byłem przeciwnikiem.

Gdy później zacząłem i ja pewną rolę odgrywać w Czytelni jako członek wydziału a następnie sekretarz, miarkowałem „konserwatystów" w takich wnioskach i pozach, i byłem niejako łącznikiem między „postępowymi" a „konserwatystami" i w obu „partyach" cieszyłem się życzliwością.

W owym czasie (1879) [illegible] obchodzono w Krakowie jubileusz 50 letniej pracy literackiej Kraszewskiego a akademicy brali czynny udział w straży honorowej, chórach, deputacyach i t. d. Zaimponował mi ogromny komers, w którym pierwszy raz w życiu brałem udział; razem z przyjezdnymi zebrało się kilkaset „ko-

legjów". Z którym wreszcie ruszyliśmy gęsie-
go przez rynek, środkiem Sukiennic
koło P. Maryi i Grodzką ku hotelowi
Kleina. Gdy pochodek szedł na Domini-
kański plac, to wąż maszerujących
kończył się dopiero w gromadzie przed
Czytelnią na Wiślnej, z której, jak
z kłębka, wciąż się rozwijał, aż ludzie
stawali patrząc z uśmiechem na po-
ważnie kroczących.

W hotelu, w sali restauracyjnej
gwarno między stołami wtłoczyliśmy
ku uciesze kółka reisenderów i po-
dróżnych, którzy zaraz się wynieśli wi-
dząc rozbawioną się gromadę. Roz-
poczęły się mówki bez końca, bo prócz
dygnitarzy czytelni i bratniej pomocy
gadali co śmielsi, a zobaczono gości
z obydwu Uniwersytetów. Przypominam
sobie tylko Milewskiego, obecnego

profesora ekonomii i posła, i kan-
dydata na ministra „skarbczyka", jak
wlazłszy na stół, czerwony jak bu-
rak przemawiał z uniesieniem Wielkopol-
ski. Mowa była „czerwona" aż strach, i
„od morza do morza"... a wiwaty i
oklaski głuszyły po każdej mówce.
Potem śpiewano, znowu toastowano,
aż gdzieś późno w nocy rozeszliśmy
się do domów.

Studya wydały mi się dość nudne.
Prof. Zoll wykładał prawo rzymskie,
ale strasznie nudno – chodziłem co
parę dni – na wykładzie M. Straszew-
skiego z Etyki byłem raz i miałem
dość tej gadaniny, aż do testowania się-
debiów. Jeden Bobrzyński wykładał
prawo niemieckie z pamięci i zaj-
mująco. Wprawdzie znać było powierz-
chowność pewną – zapomniał się B.

./.

prawem polskiem i to głównie u s-
prawat, słusznie zbywając niemiec-
kie – ale rozumiejąc i praktycz-
nie streszczające dykteandem wykład
i przez to dostarczające praktycznego
podręcznika do uczenia się. Z litera-
tury słuchałem St. Tarnowskiego i Bro-
tranka. Na drugi kurs wykładał
Bobrzyński prawo polskie i miał też
najwięcej słuchaczy.

Wakacje spędziłem z Albinowskim
i Janem Kosmińskim, wówczas słu-
chaczem matematyki, dziś oficerem
artylerji, na łódkowaniu po Wiśle.
Robiliśmy wycieczki po Tyniec, ale
była to ciężka robota, bo jak wyru-
szyliśmy z pod Wawelu o 6 rano to
ledwo na przerwy w południe byli-
śmy w Tyńcu. Wracaliśmy w ten spo-
sób, że łódkę zostawialiśmy na
łódce, a sami trzymając się jej rę-

W wycieczkach tych pracowa-
liśmy ciężko wiosłami, po-
pychając niezgrabną łódkę
z płaskim dnem wzdłuż brze-
gu. Najgorzej było przy ta-
mach, gdzie prąd nas na-
wracał. Brali w tem udział
Mieczysław Rosadowski, Józef
Łuszczkiewicz, Adam Pie-
traszkiewicz, a kilka razy
Ralf Modrzejewski, syn
znakomitej artystki dra-
matycznej — który zasły-
nął potem w Ameryce jako
jako jeden z najwybitniej-
szych inżynierów. —

nurzyliśmy się w wodzie aż po sam Zwierzyniec, gdzie dopiero ubieraliśmy się na łodzi.

Na zimowy kurs 1886/1887 zostałem po odebraniu wydziału Czytelni. Z nowych wykładających poznałem prof. Heyzmanna, profesora kanonów dobrze i starannie wykładającego ale straszliwie klerykalnego i jego antitezę Göttlera wykładającego prawo prywatne niemieckie, a raczej bredzącego o tym przedmiocie wśród częstych wycieczek — nieraz straszliwie zabawnych — przeciw kongresom i dogmatom. Zapisałem się też do seminaryum prawa polskiego. W letnim półroczu 1887 zbogaciłem znajomość profesorów osobą f. Kasparka, wykładającego filozofii prawa w tak straszliwie nudny sposób, że zwykle miewał tylko trzech słuchaczy, których, widząc

./.

innych, wybieraliśmy z pośród
siebie jako ofiary dla dojścia
do skutku wykładu. Przez to pół-
rocze zaniedbałem przyrodnicze zakładów
bo zbliżał się egzamin I historyczno
prawniczy, do którego, prócz wykładów
Bobrzyńskiego, nic nie uczyłem z wy-
kładów. Zabraliśmy się więc z kolegą
Franciszkiem Szelągowskim do
pracy i jeden z pierwszych zdaliśmy
ten pierwszy egzamin z odznaczeniem.

Z Szelągowskim poznałem się
na uniwersytecie. Żywy, dowcipny,
i zamiłowany w historyi i litera-
turze, a więc w pudrowatych i przeważnie
lubianych, przestawał głównie z kolega-
mi z seminaryum Bobrzyńskiego i
Smolki; a więc ze mną, [i ze starszymi] Abrahamem,
Balzerem, (dziś profesorami we Lwowie)
i Leniekiem, filozofem, historykiem, dziś

professorem gimnazyalnym, Ludwi-
kiem Grossem (autorem Stosunków
Polski z Soborem Bazylejskim) i.t.d.
Mieszkał razem z Leśkiem, a gdy ten
zrobił doktorat filozofii, urządziliśmy
złośliwie tę uroczystość Leśkowi w ten
sposób, że zaprosiwszy Abrahama i
Lea na karty, zmówiliśmy się z ni-
mi i zrobiliśmy Leśka 30 razy dur-
niem w kartach. Potem znów miesz-
kał Srokozyński z Józefem Kallen-
bachem, (dziś profesorem Univ. we
Fryburgu), mieszkającym nad Rudawą, prawdzi-
wym „zerstreute Professor". Raz wy-
lała Rudawa tak, że przez okna za-
częła lać się woda do mieszkania
Kallenbacha. K. pozbierał swoje bie-
liznę, ubrania i książki na stołach
i krzesłach, a gdy woda się podniosła,
przeniósł je wyżej. i dopiero gdy

wda podnosła się do wysokości sto-
łu, na którym siedział, zdecydo-
wał się wynieść. Nadpłynęła łódź
ratunkowa i wywiozła go z zalanego
mieszkania. Szeletyński mieszkał
wtedy trochę wyżej z Abrahamem
i oni uszli powodzi. Czasami scho-
dziliśmy się do nich na preferan-
sa po 2 centy szton.

~~W lecie 1881.~~ Trudno mi dziś przy-
pomnieć sobie chronologicznie
tok dziejów przeżytych na uniwer-
sytecie, opowiadam więc ciekawsze
wypadki jak mi w pamięci utkwi-
ły, a te rozdzielają się na studya
naukowe, stosunki z kolegami
w Czytelni i poza czytelnią wreszcie
na próby literackie.

Z przejściem na III rok prawa
poznaliśmy się z całem nowem

Początki chóru Akademickiego.

W Czytelni akademickiej urządzano zwłaszcza w rocznice patrjotyczne wieczorki złożone z odczytu, deklamacji i produkcji muzykalnej zwykle fortepianowej i skrzypcowej, kończące się odśpiewaniem pieśni patrjotycznych unisono. Koło 1877 roku stworzyło się kółko śpiewających na głosy i zaczęto wyszukiwać kolegów obdarzonych lepszym głosem i wciągać ich do chóru, w roku 1878 zaproszono młodego muzyka Wiktora Barabasza na dyrygenta. Chór ten zbierał się tylko dorywczo, gdy przygotowano jaki wieczorek, zwłaszcza Mickiewiczowski. Dzięki energji p. Barabasza i p. Walczyńskiego, dziś lekarza w Tarnowie, zebrano w roku 1879 chór liczniejszy, zasilony i zewnętrznymi amatorami. Prawdziwym tryumfem p. Barabasza było, gdy na wieczorek Mickiewiczowski w r. 1880 w Sali Saskiej wkroczyło na estradę około 80 śpiewaków F i pieśnią filarecką wzbudziło zachwyt po prostu publiczności. Odtąd, choć chór nie stanowił urzędowego towarzystwa, istniał stale, utrzymywano listę śpiewających, zbierano nuty, ćwiczono zwykle dwa razy w tygodniu, werbowano nowych członków, zaczęto urządzać występy chóru nietylko w murach czytelni, ale i przed szerszą publicznością. Jan Gall przychodził na próby i dyrygował sam swemi pieśniami, które chórowi akd. dedykował : W gaiku i Pieśń leśna.-

W roku 1882 występował chór ten w pierwszym na cześć Słowackiego urządzonym wieczorku 15 marca / deklamowała na nim Modrzejewska / a w lecie tegoż roku w koncercie w Ogrodzie Strzeleckim i na sali Strzeleckiej. Śpiewano : Rzymski piew tryumfalny Brucha. - Pieśń Związkową Beethovena, - Pochód Normanów Brucha - 2 pieśni Galla i Wagnera Pieśń Weselną / Chór mieszany./

F (78 we frakach, [illegible], [illegible] kościołach, w [illegible] jednostajnych [illegible]!) F

Nie pamiętam chronologji innych występów chóru akad. lecz z repertoaru przypominam sobie, żeśmy śpiewali : Chór Derwiszów Beethowena z Ruin Ateńskich, - Puszczę Dawida, Widma Moniuszki, - Psalm Laudate Dominum Liszta. Polonezy Moniuszki z Halki i z Hrabiny.-

Największem przedsięwzięciem w roku 1882 było przygotowanie operetki Grossmanna " Duch Wojewody " Pracowaliśmy 2 miesiące, chór męski, żeński i mieszany umieli już wszystko na pamięć odbyła się próba z solistami i wreszcie w ostatniej chwili skrewiła uproszona primadonna z niewiadomych mi przyczyn, innej nie było można znaleść i cała praca została bez rezultatu.-

Dyrygent Barabasz poświęcał całe wieczory chórowi ucząc głosów partjami przy fortepianie z niesłychaną cierpliwością i pilnością. Co roku musiał prawie na nowo rozpoczynać pracę, bo co roku część chórzystów kończyła uniwersytet i opuszczała chór, a wstępowali nowi amatorowie, z których połowa nut nie znała i trzeba było "do słuchu " uczyć ją jak ptaszków przy pozytywce, póki się nie nauczyli i nie zlali w zgodny chór głosów.-

W roku 1883 opuściłem uniwersytet, odtąd nie znam już szczegółów dalszego rozwoju chóru akademickiego.-

gronem profesorskiem.
Bojarski wykładał prawo karne
Zatorski, o ile był obecny, bo zwykle
był w parlamencie w Wiedniu, cywil-
ne, Bochenek ekonomię polityczną
i skarbowość. Na wykłady uczęszcza-
łem tylko tyle, aby nie być profesorom
zupełnie nieznajomym fizyonomią
i zyskać potwierdzenie wysłuchania
wykładów.
Zrazu byłem i jestem zdania,
że przedmioty czysto pamięciowe
nie potrzebują wykładów, to było
dobre, kiedy nie było druku, ale
dziś każdy może sobie wszystko
przeczytać. Dla nauk pamięciowych
powinna być biblioteka i pro-
fesor dający wskazówki korzysta-
nia, seminaryum do dysput
i — komisya egzaminacyjna

/.

Co innego nauki wymagające
demonstracyi, prób, doświadczeń
etc jak nauki przyrodnicze, lekar-
skie i t. p. Ale teologia, filozofia
prawo — te potrzebują tylko czy-
tania, dysput, a praktyczny je-
den kurs lub dwa z pewnego ro-
dzaju seminaryum. Że to wy-
starcza, jestem sam najlepszym
dowodem, bo nie chodząc na wy-
kłady i ucząc się jedynie z pa-
pierów zdałem wszystkie egza-
mina z odznaczeniem.

Na IV roku uczył nas znowu
Kasparek prawem politycznem
i administracyjnem — a uczył
naprawdę. Edward Fierich, procedury
prawa handlowego i wekslowego.
Miał on system dyktowania nader

szczegółowego, i pytania co lekcyę, po parę zdań tylko, (ale [pytań] tylko stypendystów).[1] Skrypta przez niego dyktowane, których część spisałem, miały wielką zaletę dla systematyczności, dokładności i praktyczności, tak, że nawet praktycy woleli je nieraz od drukowanych podręczników. Dla uniknięcia omyłek dyktował nieraz nazwiska litera po literze, wskazywał, gdzie się zaczynać ma nowy dział, gdzie rozdział lub podział, gdzie każdy ustęp w rozdziale i podziale, tak, że rzeczywiście skrypta stanowiły doskonałą systematyczną całość; miał opinię surowego profesora, więc wszyscy się dobrze uczyli skryptów i rzeczywiście najpierwej umieli

[1] wymagając przez to, aby ci co biorą stypendyum przynajmniej umieli za to.

jego przedmiotu przy egzaminach.
Ostrożny był nadzwyczajnie, nig-
dy lekcyi nie opuścił, nigdy się nie
spóźnił, choć nieraz wiele musiał z
innych stron nadwędrowacie obawą
przed zaziębieniem; chodził więc
otulony szalem, najpierw przeczekał
chwilę w przedpokoju nim wyszedł
na dwór, aby nie ulec nagłej
zmianie temperatury. Zimą
nut przed wykładem otwierał drzwi
od sali wykładowej do pokoików
dla wyrównania temperatury i
dopiero wchodził na katedrę, a w
miarę postępu czasu odpinał po
kolei guziki od grubego surduta.
W czasie wiatru jechał fiakrem
zasłaniając się roztwartym para-
solem przed pędem powietrza, choć deszcz

nie padał.

Klemępiński wykładał statystykę ale strasznie nudnie, cyfra się działa na cyfrę i tyle.

Wybornie zato uczył medycyny sądowej Dr Blumenstok Leon, umiejąc przedmiot uprzystępnić słuchaczom nieumiejącym podstaw medycyny (anatomii fizyologii etc.) tak, że w przedmiocie swym umiał nauczyć i potrzebnych niezbędnych wiadomości.

Przez cały czas chodziłem tylko pilnie na - rzadko i krótko zresztą odbywające się - seminaryum prawa polskiego Bobrzyńskiego, zyskując bądź co bądź wiele wiadomości o tym.

/.

sobie kompletacia ze źródeł, ocenienia ich, konstrukcyi, zyskując wreszcie ogólne wiadomości z literatury hi= storycznej i prawnej oraz inicyaty= wy do pisania.

Na konkursie „Bratniej Pomocy" otrzymałem nagrodę 20 czy 30 zł za pracę o sejmikach w Polsce w XVI wieku [1])

Dnia egzaminów rygorozów trzymałem przed matką w tajemnicy, aby jej oszczę= dzić niepokoju, w dniu oznaczonym ubierając się we frak zawiadomiłem ją, że idę zamówić egzamin — a wróciwszy donosiłem o dokonanym eg= zaminie, co jej oczywiście ogromną ra= dość sprawiało.

Tymczasem w Czytelni bawiłem się z kolegami, których całe setki zna= łem osobiście piastując godność sekretarza. Przy wyborach do wydziału

[1]) Znalazłem tę rzecz w moich papierach i potargałem. B.

przebodziłem jednomyślnie bo ani w jednej ani w drugiej partyi nie należałem do zagorzałych, i nikogo sobie nie zraziłem. W klubie szachowym byłem także sekretarzem potem wiceprezesem, a kiedy to kurtuazja tak, że zaaranżowałem partyę korespondencyjną z Czytelnią akademicką we Lwowie, którą wygraliśmy. Turnieje odbywały się co roku, raz nawet wziąłem nagrodę w turnieju drużkowym co szczególnemu przypadkowi przypisać, bo nie należałem do najlepszych szachistów. wale

W lecie z r. 1881 na 1882 czy na następnym, gdy po rozjechaniu się kolegów Czytelnia tak opustoszała, że został tylko obok mnie Albinowski, Kosmowski, Leichsam, Schneider i paru rzadko pokazujących się kolegów, powzięliśmy myśl

zbudowania w Czytelni sceny i do-
wania przedstawień teatralnych.
Albinowski jako gospodarz mógł
dysponować drobnemi kwotami,
najwyżej kilkanaście zł przez całe
wakacye — postanowiliśmy więc
to na materyały a robociznę dać
własną i wziąć się do dzieła. Jakoś
kupiliśmy na Groblach desek. Tak
zbiliśmy gradus około 3½ m. długi
2½ szeroki i ½ m. wysoki pod tylną
ścianą sali. Od przodu wyprzęgliśmy
z łat rusztowanie do sufitu, jak w
klatkę ścianą przeźroczystą. Poprzeczne
szczeble tej klatkowej ściany, oddzie-
lającej scenę (gradus) od reszty sali
podszyliśmy pasami z dykty, o-
oblepiliśmy gazetami a z wierzchu
wytapetowaliśmy tapetą zupełnie
podobną do malunku ścian. Z

boku gradusa zostawiliśmy drzwi za kulisy przykryte, nad sceną na białym trójkącie malarz Krzemiń-ski namalował ornament i lirę.

Zewnętrzna strona sceny wyglą-dała doskonale — wzięliśmy się do wnętrza. Kortynę namalował w formie drapeRyi brat jednego z moich kolegów, rękawicznik Bo-rowiecki z amatorstwa, bardzo przy-zwoicie. Za pracownię — służyła mu piwnica, gdzie przy lampie ma-lował, bo gimnazyum nie miało atelier naturalnie. Dekoracyę z grubego papieru malowałem ja: z jednej strony sala do „Kordya-na" z drugiej „podziemie". Po-dobnież do tej dekoracyi doma-lowałem kulisy. Drzwi — z jednej

/.

strony wrzeciądze w podrzeni, z
drugiej okazałe rococo do sali,
były arcydziełem, bo odmykały
się na obie strony i miały praw-
dziwą klamkę (mosiężną, błyszczącą) na tandecie ku-
pioną. Nad podrzeniem zwie-
szała się na drucie lampka sta-
rożytna.
Cały ten interes kosztował
gotowy coś 23 zł — tylko taniość
tę opłaciliśmy pęcherzami na
rękach, potłuczonymi palcami
i odrapanemi rękami, bo wszelkie
roboty stolarskie, malarskie, ślu-
sarskie, klajster, farby etc. sami
własnoręcznie zrobiliśmy. Po 2
miesiącach, gdy Cyganka zaczęła
się zaludniać — stała gotowa scena,

a wyglądała tak porządnie, że
nawet ortodoksowie wydziału, nie
zadowoleni że podobne dziecko wy-
konano bez ich udziału, zaś
młodzi widząc naszą pracę i
ozdobny jej wynik. Zaraz zaczę-
liśmy organizować trupę do
wystawienia 2 scen z „Kordyana".
Kordyana rolę objął medyk
Kreizer – Cara, znany dekla-
mator Osiąg, Prezesa Ucorowski,
starca Kleonicki i t. d. Na roz-
myśl Śmereni Kwaśniewski zapo-
wodziono przedstawienie. Kostyu-
my wszyscy pożyczyliśmy z te-
atru.

Gdy się więc dzień zbliżył –
aktorzy i dyrektorzy tj. Kosmowski,
Łoskiewicz i ja byliśmy

już od popołudnia na placu boju.
Okazało się, że za kulisami jest
tylko po parę metrów kwadratowych
miejsca, a musi się tam zmieścić
oprócz głównych aktorów: 8 spis-
kowców i Dyrekcja. Zapuściliśmy
więc kortynę i tu odbywała się
garderoba — dopiero też przed pod-
noszeniem kortyny musieli
się wszyscy wynieść, a raczej wło-
czyć za kulisy i w miarę akcji
wychodzić na scenę. Nie mieliśmy
pudru, ale krochmalem jako
„starcowi" należycie włosy osi-
wić — Kupiliśmy mąki za 2 centy
i tę rozsypaliśmy im na głowy
i brodę z pakuł zrobioną. Zresztą
było gwarno i gorąco — gorzej — wrzenie

upał doszedł do takiej wysokości,
że z nas się lało. Spoglądamy przez
szparę koło kurtyny, zobaczyliśmy
salę natłoczoną tak, jak pierwsze
nigdy – 2 lampy zgasły dla braku
powietrza! Nareszcie zadzwoniłem
dzwonkiem trzecim i pociągnę-
liśmy z Kosmowskim kurtynę
w górę. Wyszło składnie – sala
zamilkła, potem na widok
schludnie i efektownie urzą-
dzonej sceny zawrzała oklaskami
i rozpoczęło się przedstawienie. Szło
nie źle. Kosmowski był suflerem,
ja inspicyentem, za kulisami
robiło się wolniej, bo „spóźnialców”
powoli wysyłałem na scenę. Po akcie
szalone brawo. Powodzenie ko-
losalne, zapał, oprawy pa-
./.

tryjotyczne V oklaski. Drugi akt po-

V Chór odśpiewał między innemi nieznaną u nas wówczas „Marsyliankę", którą ad hoc przetłumaczył E. Por[...]

/ szedł pod względem gry i kostyumów jeszcze lepiej – a korzystając z wrażenia, palnąłem mówkę im, powiedzianą ze sceny o potrzebie teatru w Czytelni i zebrałem coś parę guldenów składki na pokrycie kosztów. Widzowie rozchodzili się powoli na Komers, a artyści poczęli się rozbierać. Było to tak trudne z powodu przepocenia, że Orzągowi buty palone, a zwłaszcza łosiowe pantalony ściągali inni. Kremnickiemu „staremu" z mąki zrobił się klajster na głowie, który mu aż za kołnierz spływał. Jeszcze po tygodniu narzekał, że głowy

M a r s y l i a n k a

przed wojną światową nie była na ogół znaną w Krakowie prócz osobom zajmującym się specjalnie muzyką. Muzyki wojskowe austrjackie, które na tak zwanych "placmuzykach" i na koncertach ogrodowych zaznajamiały szeroką publiczność z zagranicznymi utworami, miały zakaz grania marsyljanki, a przemycały ją jedynie w grywanej czasem uwerturze do opery Thomasa " Robespierre ".-

W r. 1881 kupiłem za kilkadziesiąt groszy u antykwarjusza na ulicy Szpitalnej nuty do marsyljanki z tekstem francuskim i niemieckim illustrowane drzeworytami, wydane w 1848 r. a następnie uzyskałem piękne tłomaczenie od kolegi uniwersyteckiego Edwarda Porębowicza i nakłoniłem dyrektora chóru akademickiego W. Barabasza do napisania nut z głosami i wyuczenia chóru. Odśpiewano więc Marsyliankę na wieczorku patryotycznym w Czytelni akademickiej na rocznicę powstania listopadowego wśród ogromnego entuzjazmu i aplauzu.-

nie może wynurzyć z mgły!

Na najbliższem zgromadzeniu walnem podniósł ktoś wniosek, aby scenę zburzyć, bo zajmuje 1/3 część sali, że ją zbudowano bez zezwolenia wydziału, że nie ma celu, bo nie można grać bez kobiet sztuk itd. W obronie sceny mówiłem długą mowę i obroniłem scenę. Robiłem przygotowania aby wystawić 1 akt „Dożywocia" lub „Mnicha" — gdzie kobiety nie występują, ale brakło już zapału i ochoty w amatorach, próby do skutku nie przychodziły — i tak po półroku zmówiwszy się z kosi[illegible] własną scenę zburzyliśmy własne dzieło! Wszystkie sceny poszły do pieca, został tylko gradus na pamiątkę.

./.

W ostatnim wąskim pokoju
zastawionym szafami biblioteczn-
nym odbywaliśmy co 2–4 tygodni
posiedzenia wydziału. Owe gorące
walki o wybór na zgromadzenie
walnem, okazywały się zawsze bez-
celowe, bo obrońcy demokracji
i konserwatyzmu, antagoniści
przy wyborach, po wyborach po-
znawszy bieg i stan spraw, fun-
duszów, zgodnie i cicho zadatkiali
sprawy i świata naprzód nie
popchnęli wcale. Po posiedzeniu
szliśmy na piwo i pogawędkę lekką
na do północy trwałą. Na jednym z
takich komersów debiutowałem po
raz pierwszy z wierszami o historyi
wyborów ad czytelni.

W roku następnym napędziliśmy

nowy lokal na Czytelnię w Rynku
„pod Karpiem" na II piętrze, bardzo
piękny, z widokiem na rynek. Prze-
prowadzeniem mebli kierował Ab-
ramowski gospodarz i ja, sekretarz. Gdy
już wszystko przeniesiono, urządzi-
liśmy małą fetkę, ale późno
w nocy, którą ledwo kilka osób
widziało, uroczyście zmówiona
gromadka akademików szła w po-
rządku pięknie obmyślanym
niosąc umyślnie wybrane do po-
chodu sprzęty majątku czytelni:
na czele szedł jeden niosąc na pier-
siach zegar ścienny, po tem trzech
obok siebie niosących biusty gip-
sowe Mickiewicza, Mapera i Koper-
nika na piersiach, potem ktoś
niósł ~~księgę~~ protokołów,

Dalej ozdobę miasta w powie-
trzu drąg stał, po dwóch trzy-
mając go za nogi jak balda-
chim, pod którym Kroczyliśmy
z Abramowskim niosąc jakieś
graty. Zamykało pochód trzech chorążych nio-
szących chorągwie służące do dekoracji Czytelni.
Do nowego lokalu nabyliś-
my własny bilard i fortepian
na spłatę ratami — pewien do-
brobyt zapanował w Czytelni.
Aby jakoś ożywić zgromadzenia
te wieczorki z nudnym odczytem
i stereotypowym fortepianem —
wyszukałem w aktach czytelni
dwudziestopięcioletni jubi-
leusz jej istnienia. Wygoto-
wałem odczyt z historyi Czytelni
— przygotowano chóry, śpiewy
/.

Nr 1. Projekt pisma KRAKÓW I PAŹDZ. 1880.

47

PRZEGLĄD akademicki.

Czasopismo humorystyczne illustrowane.

WYCHODZI CO DWA TYGODNIE. Nr 1.

CZYJA WINA?



— Ależ panie, ja nie mam czasu pytać pana teraz Colloquium. Trzeba było zdawać przed wakacyami, nie spuszczać się na teraz.

— Pan profesor obiecał pytać po wakacyach...

— Ależ panie, ja pytałem przed wakacyami, przecież tylu zdawało!.. Trzeba było zdawać pierwej!

Z dziejów chóru akademickiego.



Pan Barabasz: Proszę, niech pan spróbuje: a—
Kandydat na chórzystę: a!.. á!.. a!...
Pan Barabasz. Wyżej.. jeszcze wyżej —
Kandydat. Już nie mogę.
P. Barabasz. Zatem bas drugi.
Kandydat. Możeby mię pan przeniósł.. panie Dyrektorze, jabym wolał śpiewać pierwszym tenorem!

Dumania świeżo wpisanego członka czytelni.



Już to ta czytelnia, to, prawdę powiedziawszy, prawdziwa pompa ssąca!.. Wyciągnął odemnie Kol. Gasryński znów parę szóstek na jakieś kółko szachistów. Co to u djabła za kółko, kiedy tu tylko jedna para porządnych szachów!...

Albo co to znaczy, że w biórku dyżurnych nigdy nie mają dosyć drobnych do wydania, i zawsze urwą parę centów? – Ale pst! umykajmy, bo oto idzie Kol. Albinowski i Sobolewski – pewnie jakaś składka!.. Adieu!



– A gdzież się ten tu wziął w czytelni – już go dawno nie widziałem
– A! bo się zbliża walne zgromadzenie, kiedy najlepiej wygadać się można. Zapłaci za Pamiętnik, wygada się... i potem zostaje winien za resztę nie płacy... dopóki znów za następny Pam. nie zapłaci;.. a wiesz.. tego roku będą dwa walne zgromadzenia!
– Gwałtu, byle tylko naprawdę walne nie były!...

- Cóż? przygotywujesz jaki wniosek na walne zgromadzenie?
– Pójdź!... przeczytam ci mowę o Hausnerze – powiadam ci: głupi kto się nie przekbna...



– Wiersz?! Bilard będzie w Czytelni!
– O radości! Czy być może!
- Już się odtąd nie pokażę na żadnym wykładzie. Ojciec będzie kontent, że chodzę czytać do czytelni – a ja sobie będę szturkać!!!.. Tylko, jak będą nad tym wnioskiem głosować, to trzeba wyprawić gdzie Bermana.
– A to dla czego – przecież on sam gryva w bilard.
– Ale on z zasady wszystkiemu oponuje.

i przy udziale profesorów odbyliśmy uroczystość z wielką pompą w udekorowanej sali naszego nowego lokalu.

Odczyt ten wydrukowano w „Przeglądzie akademickim" i to, obok „Wycieczki na Brelanach", (trzech felietonów w Nowej Reformie, przesłanych bezimiennie do redakcji przezemnie), były pierwsze moje drukowane literackie utwory, które mię wielce cieszyły. Trzecim przedtem był w „Przeglądzie akademickim" opis wycieczki do Ojcowa którą latem urządziłem w gronie kilkunastu kolegów z Czytelni. Opis ten przytaczam, jako należący do historyi życia akademickiego:

./.

W Zielone Świątki wokoło dwudziestu zrobiliśmy wycieczkę do Ojcowa. Dzięki geograficznym znajomościom prowadzącego pochód Kolegi, po czterech godzinach tęgiego marszu dostaliśmy się do Szyc, komory granicznej, skąd zazwyczaj w dwóch godzinach zachodzi się wygodnie. Oglądnąwszy tam brodatego „piszczyka," który nam opieczętował przepustki, udaliśmy się w dalszą drogę i w krótce ujrzeliśmy piękną dolinę Ojcowską, gdzie nas miła spotkała niespodzianka, ledwo bowiem zsiedliśmy z wozu, przyjął nas z owacyą oddział Kolegów dzień poprzód do Ojcowa przybyły, o którym nic niewiedzieliśmy. Razem udaliśmy się na górę niosącą na barach zamek Ojcowski i chórem zaśpiewaliśmy pieśni patryotyczne. Ledwo skończyliśmy, ozwały się zewsząd oklaski Królewiaków, a jeden z nich starzec ze łzami nam mówił, że od r. 1863 nie słyszał tych drogich

Polakowi melodyj. Gdyśmy powrócili do hotelu „pod Łokietkiem”, wszedł do nas pan „Krajowy” (ze szpadą i złotem kołnierzem) i oświadczył nam, żebyśmy więcej nie śpiewali pieśni patryotycznych, a zwłaszcza tego: „Jeszcze Polska nie zginęła i zginąć nie musi” — bo to „uraza samego gosudara.” Zwracamy więc jego uwagę, iż jesteśmy obywatelami Austryackimi i że nam cesarz nie zabrania śpiewać, co nam się podoba; lecz na to pan Krajowy powiada: „wasz gosudar jest Polak, to co innego.” Tłomaczymy mu więc, że rzecz tak się nie ma, ale Krajowy rozwiązuje wszelką wątpliwość, mówiąc: „wasz gosudar katolik, a katolik lub Polak, to wszystko jedno.” Charakterystyczne pojęcie Moskali.

Zresztą p. Krajowy był bardzo uprzejmy, a nawet czuły (nie mieliśmy bowiem sposobności widzieć go w stanie zupełnie trzeźwym), wdawał się chętnie w pogadankę

w której nas pouczył, że piszczyka na granicy należy tytułować „błahorodie” jenerała „prewoschodiselstwo,” a gosudara cara „Jego Wieliczestwo.” Co do p. Krajowego, tego tytułowaliśmy „Kapitanem”, co go w zupełności zadowalało. Nie miał on zresztą nic przeciw temu, żebyśmy sobie zaśpiewali „coś nabożnego,” a nawet zachęcał nas do tego, czemu zadość czyniąc zaintonowaliśmy „Boże coś Polskę.”

Nocleg przepędzaliśmy „pod Łokietkiem” w jednej izbie leżąc pokotem na słomie, drżąc od zimna i gwarząc do późna. Nad ranem koło trzeciej, kiedyśmy najlepiej spali, zerwał się kolega P., wielki miłośnik natury, przypominając oglądnięcie wschodu słońca. Propozycya ta jednak przyjętą została tylko chrapaniem lub niechętnym mruczeniem, a ktoś nawet mruknął gniewnie: A czy ja astronom! — Koło 5^tej z rana udaliś-

my się z przewodnikami cudną okolicą na zwiedzenie grot, poczem rozpoczęty w roku zeszłym przez studentów warszawskich „Kopiec Skadowski" (przy Krakowskiej granicy) podnieśliśmy w górę, włoczywszy nań wszystkiemi siłami parę potężnych głazów. — Koło 10tej rano byliśmy już z powrotem w Ojcowie; bez odpoczynku poszliśmy w przeciwną stronę do Pieskowej Skały przez Grodzisko. W Grodzisku przekonaliśmy się o prawdziwym wandalizmie turystów — wszystkie ściany kościołu pokryte staremi malowidłami, zniszczone podpisami zwiedzających, do niepoznania — jako tako trzyma się jeszcze malowidło wyobrażające sławny zamek w Grodzisku, z którego śladu nie zostało. — Pieskowa Skała, t. j. sam zamek, o ile piękny na zewnątrz, o tyle przykre robi wrażenie wewnątrz. Stoworzyszony gmach restauruje obecny właściciel w stylu dzisiejszym i to najprozaiczniejszym, co krok, to napis

właściciela, jakby zameк miał być pomnikiem jego imienia. Godna uwagi głęboka studnia, krople wody wylane do niej dopiero po 8 sekundach dosięgają powierzchni wody. (W Ojcowie w 5 sekundach, zresztą studnia do pół zasypana kamieniami.)

Wieczorem byłiśmy już z powrotem w Ojcowie, a mając wczas rano nazajutrz do Krakowa wracać, pożegnaliśmy p. Kapitana, wyrażając nadzieję, że za powtórną naszą bytnością w Ojcowie zastaniemy go generałem. Potem odśpiewaliśmy parę pieśni z ogólnem zadowoleniem mnóstwa gości, wzięliśmy udział w balu „pod Łokietkiem" — a następnego rana zadowoleni z przyjemnej wycieczki rzekliśmy do Ojcowa: „Do widzenia!..." i puszyliśmy do Krakowa.

Pojedyncze wybitniejsze zdarzenia z życia akademickiego pomieściłem potem ze zmienionemi nazwiskami w humorystycznym poemacie „Pan Mateusz" z którego wyjątki odnośne przytaczam:

(Czytelnia)

KASYNO STUDENCKIE.

Pędzi nasz Staszek do kasyna żwawo,
Trąca przechodniów na lewo i prawo,
Dopada wreszcie schodów od kasyna:
Egipskie ciemnie! świecy na nich nie ma.
Skąpy właściciel nie popuści trzosa,
Niech akademik nabije tam nosa!
Trafił nareszcie w drzwi macając mury
I wiodąc kroki za krzykami z góry.
Gdy drzwi otwiera, cóż oko uderzy?
Kościoła, domu, czy też widok wieży?
Wiemy z historyi o różnych ogromach,
O piramidach, labirynckich domach.
Na piramidę kasyna nie stało,
Więc wielką szafę tylko zbudowało.
Jej cię to widok uderza na przedzie,
Kiedy się okiem po kasynie wiedzie.

Reszta jest mglistą okryta powłoką,
Nim z dymem cygar oswoi się oko.
Najprzód, powoli z pośród rzeczy wielu,
Z mgły się wynurzy dyżurny w fotelu,
Ten z papierosa, dym obficie zionąc,
Patrzy na zegar, w zadumaniu tonąc,
Rychło-li minie dyżuru godzina,
Bo mu się nudzić już wściekle zaczyna.
Opodal nieco, stoliki szachowe.
Nad nimi gracze suszą sobie głowę.
Ten zadumany, palcem w czoło stuka,
Znać posunięcia w swojej głowie szuka,
U przeciwnika już uśmiech przelata,
Znać w kilku „cugach“, że daje już mata.
W drugim pokoju, w bilardowej sali,
W koło bilardu różni gracze stali,
Chociaż wszelkiego tamże bajtlowania
Surowo nowy regulamin wzbrania.
Śmiech się dokoła rozlega co chwilę,
Gdy chudy Bekas uderzy w swą bilę,
A chudy Bekas robi „świń“ bez liku,
Pomimo śmiechu patrzących i krzyku.
Staszek powitał tego i owego
I do pokoju podąża trzeciego,
Gdzie wśród natłoku widać głów bez liku
I pełno siedzi przy każdym stoliku,
I długie jakieś wiodą rozhowory,
Bo właśnie dzisiaj są nowe wybory. Wybory
A dużo mężów staje do zawodu,
A wszyscy równie wysokiego rodu;
Wielkie zalety ma jeden i drugi,
(Większe lub mniejsze ma w kasynie długi).

Dotąd powszechna wśród kolegów zgoda,
Nad wszystkich wyżej stawiła Stonoga.
Lecz nie jednego męża obrać mają,
Bo wydziałowych, skarbnika szukają.
Ozwał się dzwonek. Wszyscy już się zbiegli,
Jak kto potrafił, w koło się rozsiedli,
Najwięcej żydów, bo tych wszędzie wiele,
A wśród nich Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Dalej stał Glattman przy boku Deichesa,
I Kalman Cypres obok Margulesa,
Rosenzweig w tyle, dalej Hirsch Fajglowitz,
Goldberg i Goldsand, Goldbaum i Horowitz,
Trzej Silbersteiny, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower.
Znów zabrzmiał dzwonek. Protokół na stole,
Czem zwykle narad zaczyna się kolej.
Lecz choć się wszyscy na naradę pchali,
Nie pusto jednak w bilardowej sali.
Tu chudy Bekas robi „świń“ bez liku,
Pomimo śmiechu patrzących i krzyku.
Steinkeller właśnie próbował buzera,
Lecz opuściło szczęście Steinkellera:
Trafił za blisko, bila mknie z ukosa
I tak na próżno pozbawił się sztosa.
Więc krzyknął gniewny:
„Na ciebie jest kolej!
Graj więc Bekasie, ty masz w głowie olej!“
Ten spojrzał smutnie, bo nie ma „siadacza“,
Lecz za kij bierze i nic nie rozpacza.
Natarł kij kredą, spojrzał gdzie są bile,
Stanął — znów spojrzał i pomyślał chwilę —

Jakby ukąszon był przez tarantulę,
Nagle z nienacka szturknął w jednę kulę.
Warknęły bile, rozległ się śmiech w sali,
A długi Bekas „fałszem“ się swym chwali.
Smutna pociecha nieszczęsnego gracza!
Przeciwnik za to zręczność swą roztacza.
Biada na bilard, na „pechowną“ dolę,
Lecz przecież robi cztery karambole.
Puścił piątego. Podstawił się strasznie,
Bekas jak na złość, robi „świnię“ właśnie,
Pomimo „fałszów“ odwrotnych i „tuszu“,
Rżnie karambole pełen animuszu.
Puścił znów sztosa.
Sala brzmi od echa,
Że Bekas dzisiaj ma strasznego „pecha“.
Wtem Jakób nadszedł i głośno ogłasza,
Że nie grać więcej wszystkich się uprasza,
Dziś bowiem wielce ważne zgromadzenie;
To mówiąc, bile chowa w swe kieszenie.
Radzi nie radzi poszli na narady,
Gdzie się już wszczęły mówki pełne swady.
W sali nabito, jako w beczce śledzie,
Iż nawet Bekas w niemałej był biedzie
Zmieścić się jeszcze, choć cieńszy od kija.
A ciekaw bardzo, bo tam jakaś chryja,
Gdy na lewicy biją huczne brawo,
Cisza ponura zalega na prawo.
Prezes obrany. Teraz nie pomału
O członków innych walczą do wydziału.
Do walki stają różni kandydaci,
Każdy się łasce poleca swych braci,

Ten, ów poleca swego kandydata,
Chwali, podnosi, iż jest demokrata,
I tak wciąż bają kręcąc się w tem kole,
Gdy zabrzmiał dzwonek prezesa przy stole.
„W kwestji tej Gembosz o głos teraz prosi“.
Z lewicy brawo, z prawa krzyk się wznosi;
Zrywa się mówca od fortepiana:
„Koledzy! rzecze — rzecz to wszędzie znana,
Że młodzież w drogi wstępuje dziś nowe —
Przebrzmiały dawne tradycje rodowe —
Przebrzmiała dawna szlachecka potęga,
Lud po najwyższą dzisiaj władzę sięga,
I tylko trzeba wzbudzić masy całe,
Zrzucić okowy rdzą już zapleśniałe —
Takie kandydat mój żywi zasady.
Zatem, koledzy, bez długiej narady,
Dajcie mu wyraz swego zaufania,
Dajcie mu głosy wszyscy bez wyjątku —
Lecz jeszcze wrócić muszę do początku,
Dorzucić muszę tu słów jeszcze parę,
By kandydata dać wam ceny miarę:
Znany kolegom, znany od lat wielu,
Studencką kuchnię stworzyć ma na celu.
Nie dość, że robi nad tem, co zamierzył,
Lecz nawet — jak się poufnie mi zwierzył —
Dzieło już pisze o kuchennej sztuce
Ku pożytkowi wszystkich i nauce,
Gdzie poda sposób robienia bifsztyka,
Który nie będzie kosztować fenika;
Sądzę, że jest to wynalazek walny,
Który dobrobyt wzniesie socyalny!“

Zaledwo skończył, a tu huczne brawo
Zabrzmiało w sali na lewo i prawo.
Kandydat przeszedł przeważną większością,
Poczem Kalembur był niezgody kością.
Kandydaturę jego Bąk popiera,
Jak pragnąc uczcić z innymi Hausnera,
We Lwowie walczył z policyantami,
Nawet był ranny; czego ten był powód,
Że zabroniono im zrobić korowód.
„Co za korowód! — ktoś z kąta podniesie —
„Wszak to po polsku fakelcugiem zwie się!“
Na to się liczne podniosły zarzuty,
Słowo: „fakelcug“ przyszło pod dysputy,
I dużo trzeba przejść było kłopotu,
Nim do dawnego wrócono przedmiotu.
Kalembur przeszedł, choć oponowano,
Na tem porządek dzienny wyczerpano.

Jakób, długoletni stróżny Czytelni :

Ustały walki i umilkły burze,
Mało kto jeszcze pozostał na górze.
Posner papiery do szafki zamyka,
I tylko szuka w kieszeni kluczyka;
Ze schodów liczne odbrzmiewa tupanie —
Wkrótce ucichnie, Jakób sam zostanie.
I Posner odszedł.
Zamknął Jakób zamki,
Pochował klucze, popróbował klamki,
Kontent, że się już kończy jego praca,
Szybko w kasynie porządek przywraca.
Stołki pozbierał i kurze pościerał,
Złożył gazety i szachy pozbierał,
A że na bilard patrzeć jego dola,
Spróbował w drodze zrobić karambola.

Nakręcił zegar, posłuchał czy tyka,
I zadumany usiadł u stolika.
Myśl jego w przeszłość kasyna ulata,
W niedawne owe tak szczęśliwe lata,
W szczęśliwe chwile, gdy walk tu nie było
I o stronnictwach nikomu się śniło,
Nie było kłótni, niezgody, ni wrzasku.
Tak zadumany wśród księżyca blasku,
Patrząc w przebrzmiałą przeszłość tę promienną,
Oparł na ręku ciężką głowę senną;
Pamięć lat dawnych do głowy się tłoczy
I dziwne mary stają mu przed oczy:
Suną szeregiem wśród blasku księżyca
Dawni prezesi poważnego lica;
Poważni, jakby z mogiły powstali —
Naprzód Domański dzielnym krokiem wali,
Kwieciński za nim, Gluziński, Jabłoński,
Merunowicz i Cosel i Lesław Boroński,
Buszek, Pareński, Świerz i Filasiewicz,
Starkel, Śliwiński, Kaźmierz Bartoszewicz;
Za tymi znowu jakież to widziadło?
To biedny Borek z swą twarzą wybladłą,
Troski go liczne do grobu wpędziły.
Za tym znów Stonóg pełen męskiej siły,
Trzyma pod rękę cnego Bogdanika,
Prezesów szereg ostatni zamyka...
Mkną przed Jakóba sennemi oczyma,
Powoli nikną, nic ich nie zatrzyma —
Promień księżyca jak wpierw świeci drżący...
Tak marząc zasnął kasyna służący.

KOMERS.

. . . .

Z początku hałas, stukanie i krzyki,
W podkowę stoją krzesła i stoliki.

W koło usiedli nasi przyjaciele,
A z nimi Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Lecz choć już wszyscy zasiedli do koła,
Najpierwsze miejsce próżne jest u stoła:
Tam siędzie prezes komersu młodzieży,
Jemu tam miejsce pierwsze się należy,
Obrać go mają, a powszechna zgoda
Prosi nowego prezesa — Stonoga,
„Niech przewodniczy!“ głos ogólny woła.
Więc zasiadł Stonóg, dziękując dokoła.
Gdy to się stało, napowrót usiedli
I milcząc pili lub też wirsztle jedli.
.... Toastów nadeszła już pora.
Więc prezes wznosi zdrowie kuratora;

Potem nasz Staszek w nadobne frazesa
Pije za zdrowie kolegi prezesa.
Prezes dziękuje i znów zdrowie pije:
„Niech wiceprezes jak najdłużej żyje!“
Potem znów zdrowie piją podskarbiego,
A ten dziękując za pamięć na niego,
Na odlew wznosi zdrowie sekretarza,
A ten znów pije do biliotekarza.
Gdy wyczerpnięto szereg dygnitarzy,
Piją, gdy tylko sposobność się zdarzy:
Ten do sąsiada, ten toast kochanki,
I tak bez końca trącają się w szklanki.
Nareszcie Gembosz podnosi się z kąta,
Stając na krześle, głosu znakiem żąda.
Gdy mu głos dano, jął bajać szeroko,
Jak naród utkwił dziś w konserwatyzmie,
Ultramontanizm jak wrósł się głęboko,
Lekarstwo na to jest w liberalizmie,
A więc trza „postęp“ rozszerzać dokoła,
Usuwać zwolna wszędzie wpływ Kościoła,
Arystokrackie zwalczać przekonania
I postępowe w ludzie krzewić zdania.

Gdy się tak Gembosz wygadał do woli,
Na Wodnickiego nadeszła znów kolej:
„Koledzy! — rzecze — nie chcę mówić wiele,
Wszyscyśmy równi, wszyscy przyjaciele!
Wszystkie te mówki, te piękne gadania,
Te o postępie, Kościele bajania,
To odróżnianie pana, demokraty —
Próżne to słowa — bośmy wszyscy braty!
To wznieca kłótnie pijackie i waśnie,
Dajmy im pokój — niech je piorun trzaśnie!“

Ta energiczność ostatniego zdania
Trafiła wszystkim do ich przekonania.
Dali więc pokój polityce wszelkiej,
Za to się wzięli dzielnie do butelki.
Krążą kieliszki i butelki kołem,
Ten, ów już ścięty leży gdzieś pod stołem,
Rumieniec lica już wszystkich rumieni,
Lecz mimo tego mówcy niezrażeni
Gadają ciągle, różne hasła głoszą,
Jeden za drugim wciąż toasty wznoszą.
Gdy i Takowicz jął się do gadania,
Wszczęły się ciche mądrzejszych szemrania,
Lecz on swą mówkę ciągle jeszcze prawi.
Każdy jak może w swym kącie się bawi —
Ten o jutrzejszej znów wyprawie gwarzy,
Czy awantura jaka się nie zdarzy —
Ten w zębach dłubie, albo na głos ziewa,
Inny półgębkiem jakąś piosnkę śpiewa,
Inny mniej grzeczny głośno zdrowie pije:
„Kolega Jacek niech nam długo żyje!“
Ale Takowicz jak zaczął tak plecie;
Aby mu przerwać, znalazł się ktoś przecie,
Co bez żenady jawnie głos zabiera —
Wnosi: kolegę prosić Lamszajdera,
By z swojej cytry dobył miłe brzmienia
Gwoli zabawy urozmaicenia.

Na to prezes się ozwał: — „Approbatur!
Niechaj Lamszajder zagra „Nur für Natur".
Wołają mistrza, cytrę mu przynoszą,
I by co zagrał usilnie go proszą.
Mistrz się wyprasza i niby się wzbrania,
Że palce jego odwykły od grania,
Lecz się niedługo dał w końcu ubłagać.
Na to rzekł prezes: „Silentium! siadać!"
Ucichło wszystko i cisza nastała,
Tylko strojona cytra się ozwała
Czasem dźwięcznemi z metalu strunami,
Aż mistrz w nią z lekka uderzył palcami.
Z początku cicho pod trąceniem ręki
Zabrzmiały struny, jakby jakie jęki,
Lekkie i ciche, jak powiewy wiatrów,
Wzrastają coraz. Tak z wierzchołka Tatrów,
Z skrytego źródła wzrasta potok mały,
Sączy się szemrząc nieznaczny przez skały
I w drodze inne pochłania potoki,
I wzrasta ciągle, płynąc przez opoki —
Wreszcie z potoka, z małego strumienia,
W rzeki wodospad wielki się zamienia.
Tak dźwięki cytry coraz silniej brzmiały,
Aż wzrosły wreszcie w akord okazały;
Z akordu zwolna tworzy się już pienie
I „Nur für Natur" wzbija się w sklepienie
Odczuli wszyscy drganie od walczyka
I u każdego szmer powstał stolika,
W takt o talerze biją widelcami
I przytupują do taktu nogami.
Nagle mistrz płącze i przemienia tony,
Biega po strunach i jakby natchniony,
Jak gdyby przeczuł słuchaczy życzenia,
Walc w ulubioną poleczkę zamienia.
Ledwo słuchacze mistrza myśl pojęli,
Choć się nasłuchać dość czasu nie mieli,
Mistrz w „mol" przechodzi i znów dźwięki ciche
Oddają smutną piosnkę: „Die heimliche

Liebe!" Wszyscy się z kochankami smucą,
„Das ist die Liebe" po cichutku nucą,
Każdy swą myślą za komers ucieka,
Każdy wspomina chwile u Frybeka.
Mistrz dalej, jakby umyślnie, podnieca,
I gra im marsza; każdy tupie nogą,
Lecz wreszcie wszyscy wytrzymać nie mogą:
„Du Elisabeth!" chórem okrzyknęli,
Akompanjować cytrze w koło jęli.
Takt po talerzach biją widelcami
I przytupują do taktu nogami —
Nagle ustali — bo mistrz tony wznosi,
Natęża takty — coś nowego głosi —
Przerywa nagle — i o kufel prosi.
Dali mu chętnie, wdzięczni za to granie,
I rozpoczęli dalsze zajadanie.
Cisza wróciła — znowu brzęk talerzy
Słychać — czasem ktoś w szklankę uderzy.
A na to Stonóg: „Cóż to, bracia moi,
Także studentom bawić się przystoi?
Zrazu wrzask pjany, a potem szmer cichy,
Mamyż ucztować jak zbójcy lub mnichy?
Inne zwyczaje były za mych czasów,
Gdy na majówce wśród Bielańskich lasów
Przy obozowem piliśmy ognisku,
Łącząc się wszyscy w braterskim uścisku.
Tam były pieśni!... między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka piwo rozwesela,
Ale poezja jest dla myśli winem!"
Na to wezwanie wstał Kalembur młody
I deklamował jakieś czułe ody. i. t. d.

Lecz że już późno, że ten, ów już śpiący,
A więc z kielichem wstał przewodniczący,
Zakończa ucztę wedle tradycyje
I staropolskie: „Kochajmy się!“ pije,
Potem ogłasza, że tradycyjnego
Zrobić należy po mieście „gęsiego“,
Wszyscy się zebrać mają biesiadnicy
Przed bramą knajpy, razem na ulicy.
Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.
Więc gdy już wszyscy stanęli przed progiem,
Krzyknęli: „Naprzód za naszym Stonogiem!“
Stanęli razem. Już Stonóg na przedzie
Staje gromady, on naprzód powiedzie.
Na hasło wszystko w szereg się gromadzi —
Daje znak Stonóg — „gęsiego“ prowadzi;

Sznur się rozwija, ciągle w długość rośnie,
Jak gdyby z kłębka wysnuta nić w krośnie.
Idą „gęsiego“ nasi przyjaciele,
A z nimi Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Na przodzie Stonóg — odbijają buty
Od bruku, czasem podkręca wąs suty,
Stąpa powoli, niby od niechcenia,
Lecz z kroku jego, z każdego ruszenia
Wyczytasz myśli i uczucie jego.
Nagle zawraca na prawo gęsiego —
Staje na miejscu — laską na znak wstrząsa —
Skręca znów w lewo i podkręca wąsa.
Skręcił a wszyscy biegą w jego ślady.
On policjanta chce wziąć do gromady,
Więc staje przed nim, rękę w górę wznosi,
I by go w koło okrążyli, prosi.

Policjant radby na bok się uchylić,
Odmienia drogę, chce ich plany zmylić.
Lecz go dokoła ścigają natręty
I obwijają tanecznymi skręty.
Więc groźnie rękę na rękojeść składa,
Jak gdyby mówił: Zdaleka — lub biada!
Zwraca się z dumą i wyzwaniem w oku
Prosto w tłum — lecz ci nie ustąpią kroku,
Zmieniwszy szyki obstępują w koło
I maszerują, śpiewając wesoło.
Zwraca się Stonóg. Na prawo prowadzi,
Reszta się za nim znów w szereg gromadzi —
Zagasza lampę, znów skręca na lewo,
Okrąża chyłkiem stojące tam drzewo,
Robi ósemkę, łączy szereg w dwoje.
Jak wąż w tysiączne łamiący się zwoje

Kręci się „gęsi", splata się i zwija,
Bierze przechodniów w koło lub wymija.
Ci ustępują, Stonóg zmienia szyki,
Znów ich zagarnia. Brzmią zewsząd okrzyki:
Ach! to może ostatni! patrzcie młodzi!
Ostatni, który „gęsiego" tak wodzi!
I szli tak dalej, śpiewając wesoło,
I budząc podziw przechodniów w około.

Gdy wstąpiłem na czwarty rok pra-
wo, stosunki w Czytelni zaczęły być
mniej przyjemne. Tak zwane par-
tye polityczne zaczęły namiętne
dysputy – które niekiedy przerabiały się
/.

– w kłótnie. Winni temu byli prze-
ważnie koledzy z prowincyi. Mianowicie
zauważyłem, że wszyscy przychodzący na
uniwersytet z gimnazyów prowincyo-
nalnych przynosili mniejszy zasób
inteligencyi i wykształcenia. Żadna pra-
wie nie czytał z literatury, historyi,
przyrodniczych i innych naukowych gałęzi nie
po nad przepisaną lekturę szkolną,
podczas gdy uczniowie z krakowskich
gimnazyów ogółem byli wysoko
oczytani. W dodatku przychodzący z pro-
wincyi – byli zarozumiali, a przynajmniej
przeważnie ubogich rodziców, zaczem i
domowe wychowanie mieli gorsze, obej-
ście ordynarne. Podczas gdy przywódcy
„partyi“, krakowscy wychowankowie jak
Pawlikowski, Łuszczkiewicz, Beaupré,
Suszycki, pomimo sporów zasadniczych
wzajemnie byli ze sobą jak najlepiej

Kwit

Niniejszem poświadczam że z rąk Kolegi Kl. Bąkowskiego zastępcy przewodniczące-go Kółka Szachistów otrzymałem Kasę tegoż Kółka składającą się z następujących pozycyj:

1. Kwit Kolegi Kweizera na — 1'14
2. pretensyę do Kolegi Lesława Głuzińskiego na — 80
3. gotówkę — 69'99½

wyraźnie sześćdziesiąt dziewięć Złr i dziewięćdziesiąt dziewięć i pół centów.

razem — 71'93½

oprócz tego niewciągnięte do księgi podskarbiego wkładki w sumie — 26

72'19½

Kraków dnia 3go Lutego 1881

J. Kośmiński
Podskarbi Kółka.

Coram me
Józef Jakubowski

W Czytelni Akademickiej.

Z Czytelni Akademickiej. 60

Koledzy!

Tylko dobrze wybrany wydział może zadość uczynić temu zadaniu, jakie nań wkłada obowiązek powierzony mu przez Członków Czytelni. Dlatego sądzimy, że wobec zbliżających się wyborów poznać należy kandydatów, abyśmy mieli czas należycie rozważyć komu głos swój oddamy.

Zajmując się żywo od lat kilku Czytelnią, mieliśmy sposobność poznać wielu Kolegów, dlatego sądzimy, że nie ulegniemy zarzutowi pressyi lub forytowania pewnych Kolegów, których Wam proponować się ośmielamy, lecz, że uznacie poniżej podaną listę kandydatów jako taką, którą z przekonania naszego za najlepszą uważamy.

Tą myślą powodowani proponujemy następujących Kolegów

na wydziałowych:

W. Abraham.
J. Balzer.
Z. Ehrenberg.
L. Grosse.
J. Grubczyk.
K. Sulowski.

J. Krattenbach.
J. Kośmiński.
T. Krugowski.
J. Malec.
J. Pawlikowski.
A. Poplawski.

F. Piekarczyński.
T. Stachiewicz.
L. Węgliński.
K. Zaleski.
A. Zacharyasz.
K. Zgórski.

na zastępców wydziałowych:

A. Chramiec.
J. Gostwicki.

L. Leichenscheider.
E. Dorębowicz.

J. Mieczkowski.
F. Stefczyk.

w Krakowie dnia 25/X. 1881 r.

Klemens Bąkowski.

Albinowski

Zgromadzenie przedwyborcze we środę 26 b. m. w Sali I Coll. physicum o godz. 6 wieczorem. Wybory za pomocą kart wyborczych w sobotę 29 b. m.

– czysto razem po zgromadzeniu osobno
szliśmy ze sobą ~~się~~ aby nie słuchać ca-
tej zgrai – to istotnie gentes od dy-
sputy przechodzili do sprzeczki a nawet
do ordynarnych obelg. Ponieważ ogromnie
takich szabskich i bredni głos był więk-
szy więc powoli ten obyczaj stał się
rażąco wrzaskliwy. Nieraz przez cały dzie-
ń ci politycy dysputowali ze sobą!

~~Wiem~~ „Przegląd akademicki" wegetował
już od dwóch lat z artykułami dość
dobrymi pewnymi i korespondencjami bez znaczenia nie uchodził za
„organ czytelni". Ponieważ wydawał
się za mało „postępowy", zatem czytelnia
nie uznała go za swój organ. Wtedy
Szymborski, Beaupré, (Kallenbach) Strebrzyński
i ja postanowiliśmy zreformować
„Przegląd" – a równocześnie Pawlicki
Lisiewicz i Feudel postanowili

wydawać organ „postępowy" i założyli pismo „Przyszłość".

Oba pisma nie miały funduszów ani nadziei na zasilenie prenumeratorów, trzeba więc było myśleć o pokryciu deficytu. W „Przyszłości" pokrył Kosta Pawłowski, co do „Przeglądu" żaden z nas redaktorów nie miał na to pieniędzy, Tryszkowski więc i Beaupré nakłonili Juliana Tołłoczkę bogatego chłopca aby objął „administrację", a za ten tytuł obiecał Tołłoczko pokryć deficyt i potem pokrył z wielkim uśmiechem, bo wynosił coś na 100 czy 150 zł.

„Przyszłość" przeżyła „Przegląd", ale także zmarła po roku. Przegląd wytrwał przez pół roku.

Swoim razem wydaliśmy pismo akademickie (studenckie) za rzecz nader

Prospekt.

„PRZYSZŁOŚĆ"

Organ poświęcony młodzieży polskiej.

Z Nowym Rokiem zamierzyliśmy wydawać pismo które poświęcamy *młodzieży polskiéj*. Dlatego nazwaliśmy je „PRZYSZŁOŚĆ". Bo jeśli, jak poeta mówi, młodość jest rzeźbiarką, która żywot wykuwa, to gdy suma żywotów jest żywotem narodu, młodzież jest rzeźbiarką przyszłości. Młodzież — to przyszłość.

Zadanie więc nasze już nazwa pisma określa. — Pracować chcemy nad młodzieżą, aby ona nad przyszłością pracować umiała.

Więc naprzód stawiać jéj będziemy przed oczy znaczenie jéj w społeczeństwie i zadanie jakie ją czeka. Uderzymy ze wszystkich sił na ów często powtarzany frazes, że młodzież sprawami publicznemi zajmować się nie powinna, że ponad książkę nic ją nie ma obobchodzić. Zasada taka, to posiew bezprzekonaniowości i nieobywatelskości. My chcemy aby młodzież zrozumiała, że *czemkolwiek kto będzie, zawsze winien być obywatelem*. Przyszłość chce mieć *obywateli*.

Samo już ono obywatelskich obowiązków poczucie pomoże do spełnienia drugiego zadania, do podniesienia moralnego poziomu młodzieży. Bo poczucie to wskaże jéj cel życia i stanie za ideał, którego dziś niema. A pozbawienie młodzieży ideałów, to posiew niemoralności; życie bez celu, to życie niemoralne. Toż powszechnie czuć się daje ów indyferentyzm etyczny, który niszczy najbujniejsze jednostki a wytwarza ogólną anemię społeczną. Przeciwko téj chorobie walczyć chcemy. Przyszłość chce *charakterów*.

Indyferentyzm moralny objawia się z drugiéj strony jako bezbarwność umysłowa. Wieczne odwoływanie się do mistrzów, brak krytyki, nieporządne nagromadzanie wiadomości, martwa erudycya ją cechują. Jest to brak zaufania we własne siły, lenistwo myśli, umysłowa bezcharakterność. Choroba to ciężka, bo dotyka strony która uważana jest za najzdrowszą; społeczeństwo najwięcej od głów młodzieży się spodziewa; przyszłość ich potrzebuje. Wobec tego starać się będziemy rozwijać krytycyzm, trzeźwość i bezwzględny szacunek dla jednej tylko powagi, którą jest na faktach opierający się *zdrowy rozum*.

Nakoniec należny a silny nacisk położymy na to, co wyraża się w zdaniu, że zdrowa dusza jeno *w zdrowem ciele* mieszkać może.

Zdrowie i siła! moralna, umysłowa, fizyczna. Ta siła przyszłość zdobędzie, to zdrowie postawi ją zdrową. Nie może być, aby człowiek zdrowym i silnym się czujący, ceniący godność własną, ugiął się przed przemocą, poniżył do serwilizmu, zniósł spokojnie hańbę, zrzekł się niepodległości. Walkę życiową wytrzyma on niezgięty a przed ciężarem pracy się nie cofnie.

Nie może być, aby trzeźwy i rzutki umysł zagrzązł w starych formach i w nich skarłowaciał, ani też aby uwieść się dał dźwiękom, choćby w imię szanownych idej wygłaszanych haseł, w których niemasz zdrowéj treści.

Umysł zdrowy ukochać też musi drogi jasne i proste, a nieda się zwabić ścieszkom obłędnym nęcącym tajemnicą mrzonkarzy, ukochać musi wolność

i wiedzę oswobodzicielkę z więzów przesądu, dogmatu i doktryny.

A zdrowie moralne nie pozwoli samolubnych celów obierać, ale miłością każe ogarnąć tłumy i w pochodzie ku przyszłości podeprzeć uciśnionych.

Taka jest nasza wiara, na której opieramy nasz program. Zaufani w zacność sprawy przystąpimy do dzieła. Czujemy, że stanie za nami lepsza część młodzieży, tuszymy, że poprze nas wszystko co młode i zdrowe. Wiemy też to, że i przeciwników znajdziemy. Będą nimi ludzie, którzy do umarłego świata należąc boją się wszystkiego co żywe, będą i ci, co nie znoszą niczego wyrastającego ponad zwyczajność. Ale: „Biada wam, gdyby dobrze mówili o was wszyscy ludzie".

W wykonaniu zakreślonego programu umieszczać będziemy w piśmie naszém prace różnego rodzaju. A więc przedewszystkiem artykuły zasadnicze, rozwijające myśli w programie naszym naznaczone, utwory poetyckie lub belletrystyczne treścią swoją potrącające o pytania społecznéj lub etycznéj natury, i prace naukowe. Naukowe przedmioty traktować będziemy bądź w oddzielonych systematycznych rozprawach, bądź podając streszczenia nowych a znakomitych dzieł. Wreszcie, ponieważ naukowe pytania pierwszorzędnéj są dla nas wagi, a o wszystkiem mówić systematycznie nie podobna, otwieramy dział, w którym bądź na pytanie rzucone odpowiadać, bądź dowolną kwestyę z kilku stron dorywczym raczéj sposobem oświecać będziemy, podniecając tém do myślenia, do krytyki, lub gruntownego rzeczy jakiejś zbadania. Dział osobny zastrzegamy sobie do wypowiedzenia zdania swego w sprawach bieżących. Dział znowu osobny poświęcamy sprawom młodzieży wyłącznie a umieszczać w nim będziemy korespondencye z zakładów naukowych i Uniwersytetów, gdziekolwiek tylko młodzież polska się znajduje.

Wreszcie obok krytyki literackiéj postaramy się i o to, aby zamieszczać dokładne wskazówki bibliograficzne, zwracać uwagę na wszystko co i gdzie ciekawego pojawiło się w prasie krajowéj i obcéj, notować wypadki interesujące szczególniéj świat naukowy lub studencki.

„PRZYSZŁOŚĆ" wychodzić będzie dwa razy na miesiąc, objętości arkusza druku w formacie niniejszego prospektu.

Przedpłata wynosi:

Dla Publiczności:

bez przesyłki pocztowéj: rocznie złr. **4·50**; półrocznie złr. **2·25**;
z przesyłką pocztową: rocznie złr. **5·—**; marek **9·—**; fr. **11·—**;
półrocznie złr. **2·50**; marek **4·50**; fr. **5·50**.

Dla uczącej się młodzieży:

bez przesyłki pocztowéj: rocznie złr. **2·50**; półrocznie złr. **1·25**;
z przesyłką pocztową: rocznie złr. **3·—**; marek **5·30**; fr. **6·50**;
półrocznie złr. **1·50**; marek **2·70**; fr. **3·25**.

Adres Redakcyi i Administracyi „Przyszłości": Kraków ulica św. Anny l. 5 (naprzeciw Collegium Phisicum).

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Dr. Jan Jodłowski.** — Drukarnia Związkowa w Krakowie.

ważną — dziś jednem zdaniem, że jest zupełnie nie potrzebne, bo odrywa tylko od studyów, a jeżeli czasem który student co lepszego napisze, to może znaleźć miejsce na druk gdzieindziej, na czem nawet lepiej wyjdzie, bo znajdzie szersze koło czytelników.

Oba pisma były dowodem, że u nas do wszystkiego jest słomiany zapał. Przy założeniu wszyscy obiecywali coś napisać, nawet tacy, o których z góry wiedziano, że napisać mogą chyba — głupstwo. Potem napisał coś ten i ów — wyczerpał się — i dopiero suszy sobie głowę, czem ten numer zapełnić.

Dla „Przeglądu" w drodze korespondencyi zawerbowaliśmy siłę redakcyjną we Lwowie. Po paru numerach

/.

przesłaliśmy zupełnie za darmo ki-
czyi, bo nam przysłali same wier-
szydła, a gdy im odrzuciliśmy na-
turalistyczno-dekadentyczną nowe-
lę, obrazili się, i nic już nie przy-
słali.

Przy redakcyi pierwszego numeru
wszyscy redaktorowie radzili aż
strach. Artykuł programowy napi-
sałem ja, potem następował towarz.
Rossowskiego ze Lwowa, artykuł
Srebrnopiaskiego o Szujskim, korespon-
dencye, kroniczkę, bibliografię, a
w feljetonie „Wspomnienia aka-
demika" mojego pióra, które mamy
cytować „poetycznie" czytelnicy, z
których prawie portrety i wyszydzałem.

W numerze drugim dostaliśmy
artykuł wstępny ze Lwowa nadesłany
„w kwestyi ruskiej", artykuł Srebrno-
pińskiego i mój „o akademickiem Kole

przyjaciół ludu", Kallenbacha Uwaga o ocenie Tarnowskiego poematu "Pervigilium Veneris" — i wszystkie rubryki.

Od trzeciego numeru zaczęło się kalikowanie — oprócz Szekrzyńskiego i mnie nikt już nie prawie nie pisał. Fejleton był na razie zapełniony mojemi "Wspomnieniami akademika" ale o resztę trzeba było sobie suszyć głowę.

Ponieważ ogłoszono nas konserwatystami, chcieliśmy koniecznie wykazać, że jesteśmy tylko rzecznikami spraw wyłącznie studenckich, rzeczowymi, a nie konserwatystami lub postępowcami. Wyszukiwaliśmy więc z Szekrzyńskim sprawy studenckie możliwe do poruszenia, i tak w następnych numerach zamieściliśmy artykuły: —

./.

"W sprawie stypendyów" (Trzebczyńskiego) "Towarzystwo wzajemnej pomocy akad." (mój) "Wyzyskiwanie pracy studentów" (mój) "Nauki polityczne i społeczne" (J. Lea) "O pomnożeniu towarzystw akademickich" "w budynku ks. Kollegium (mój)" artykuł polityczny z okazyi nowego starosty Badeniego przy promocyi sub auspiciis imperatoris o pracy obywatelskiej studentów (mój i Trzebczyńskiego) "Z życia akademickiego" (moje) "O koloniach studenckich wakacyjnych" (mój i Trzebczyńskiego).

Kaltenbach wydobył od profesora Mikulicza artykuł "o zakresie studyów chirurgicznych na Uniwersytecie. Prof. Wyrwiński podał program swego wykładu procesu karnego niesłychanie długi, i przez jego wzorów ogólnego nie obchodzimy. Drukowaliśmy go dla ~~zatrzeć~~ zapełnienia miejsca. Szeroko opisałem

/-

z osobnym dodatkiem uroczystości poło-
żenia kamienia węgielnego pod nowe
Kollegium. Do fejletonu wydębyliśmy
od Górskiego Konstantego „Wrażenia z po-
dróży". Z poważniejszych artykułów na-
pisał dalej Siekierzyński dobry artykuł
„Nasi profesorowie historyi polskiej"
ja znów dobyłem z archiwum zapiskę
interesującą dotyczącą skargi o
czary, napisałem artykuł „O ra-
dach i czarownicach w Polsce". Gdy
i zwykłe rubryki (kronika, bi-
bliografia, korespondencye) nie wy-
starczały do zapełnienia numeru,
napisałem zupełnie do pisma a-
kademickiego niestosowną nowelkę
„Na guwernerce". Po pół roku
widzieliśmy, że ani fundatorów
ani współpracowników nie ma,
zawiesiliśmy wydawnictwo,

/.

Ogółem mieliśmy coś 140 prenu-
meratorów. I administrator nie wiele
zadawał sobie trudu, więc ekspedy-
cyą zajmowaliśmy się również ja i Fil-
Kryński; czasem pomagał nam
administrator — przenoszący nam
pisma, Przedświt, Kalbuszewski.

Odpowiedzialnym redaktorem
był najpierw Szczygłowski, potem
profesor gimnazyalny Jan Lemeck,
który nie mieszkali się do niczego,
a biedny Lemeck musiał jeszcze
potem zapłacić z własnej kiesze-
ni podatek zarobkowy od „Prze-
glądu!"

Przyszłość smarowała nas
należycie, zwłaszcza po upadku
Przeglądu.

Oba pisma dowodzą, że Kraków
ludzi nie jest w stanie wszelkiego

zdziałać, a podźwignąć wiele do
pracy jest trudno, bo nie wszyscy
naprzód są w stanie coś wypraco-
wać, [powtórz] a w ogóle brak „nas” wytrwałości,
prze~~tworzanie~~ cemiankę sił rozporządzalnych.

Dzięki „Przeglądowi” zdałem eg-
zamina o 3 miesiące później niż
inni koledzy — to są skutki zajmo-
wania się czem innem, ~~[illegible]~~ na u-
niwersytecie, niż właściwem kształ-
ceniem.

Na czwartym roku moich studyów
kandydowałem na prezesa Czytelni.
Ponieważ od razu ostemplowano
mię jako kandydata „konserwa-
tywnego”, upadek byłby pewnym,
gdyby nie to, że ze względu na zna-
jomości osobiste, ~~na~~ zasługi i pew-
ne w zarządzie czytelni, wielu li-
berałów „było” także za mną.

Kontrkandydatem był niejaki Jendl, współpracownik „Przyszłości". Agitacja była ogromna, zgromadzenia przedwyborcze zgromadziły już tłumy! W czasie wyborów sala była nabita, bo głosowało blisko 250 (i to imiennie). Szala wahała się na obie strony, ostatecznie ja dostałem coś 108 głosów, a Jendel zaś 140. Przepadłem zatem, a pracownikowi przyznałem humor tylko tem, że między wyborcami za nim głosującymi było około 40 żydów – na mnie głosował tylko jeden żyd – i właśnie ten unikat został mi w pamięci: nazywał się Herbst, osobiście go o ile sobie przypominam nie znałem, i tem bardziej się dziwiłem, czem sobie jego zaufanie zyskałem.

/

Z początkiem tegoż kursu zostałem aplikantem archiwum aktów grodzkich i ziemskich z pensyą 300 złr rocznie – tj. przez rok właściwie, gdyż aplikantem może być tylko student uniwersytetu, a za rok opuszczałem już uniwersytet. Zajęcie to intere-sowało mię bardzo, chociaż z począt-ku nie brakło trudności, gdyż paleo-grafii nie umiałem i dopiero uczyć się musiałem.

Przychodził często do archiwum Lud-wik Zarewicz pensyonowany urzędnik, który z amatorstwa trudnił się histo-ryą i nie bez pożytku wydobył wiele szczegółów z archiwum. Pisał właśnie historyą rodziny Melortyńskich i narzekał, że końca jej nie zna, zna-lazł wprawdzie wzmiankę, że

./.

jeden z ostatnich M. z XVII w. Win-
centy miał syna Rafaela, ale zresz-
tą nic mu nie wiadomo. Lubicz
o tem pewnie i wszyscyśmy wiedzieli,
że Melsztyńscy zbiednieli, że ostał u
nich ich majątkiem była Kamie-
nica na ulicy Gołębiej w Krakowie,
że Wincenty nie miał znaczenia
a o Rafaelu nic nie wiadomo. Ile
razy przyszedł Zarewicz i brał księgę
w rękę, wzdychał, że nie ma nic
o Wincentym lub Rafaelu — często
po łacinie, bo obcując dużo z
włoskimi Kamedułami na
Bielanach mówił z nimi po ła-
cinie i wprawy wielkiej nabrał w
łacinie. Raz strzeliła mi zabawna
myśl i usłyszawszy od niego
zwykłe powitanie: Bonus dies

Domine! zapytałem go, coby Do-
minatio vestra zafundowała, gdy-
bym mu znalazł jakiego nowego
Melantyńskiego? Zaczął z po-
czątku odburkiwać, że dawno o tem
gadać, bo już wszystko przeszperał
i nic się nie znajdzie, ale gdy za-
cząłem go przekonywać, że przypad-
kiem coś znaleźć można, przy-
rzekł parę znakomitych cygar
gdybym mu co znalazł.

Wziąwszy arkusz papieru naśla-
dowałem przez tydzień pismo XVII w.
a gdy do należytej wprawy doszedłem,
wynalazłem pustą kartkę papieru
z XVII w. i atramentem zrobionym
ad hoc z sepii gęstym proszkiem za-
pisałem całą obustronnie zapis-
kami skopiowanemi z któregoś

./.

których sędziów XVII a między za-
pisami wkomponowałem krótką
ale brzemienną następującą za-
pisę: „Famatus Raphael Mel-
sztinsky filius decollati olim
Vincentii Melsztinsky personaliter
coram officio praesenti consti-
tutus libere ac spontanee re-
cognovit quia domum suam
in platea Columbarum nepo-
tibus suis et uxoris suae Ag-
netis Kisling dat, donat, resi-
gnat et in aevum condescendit
etc.

Jednego dnia przybył Zarewicz
a ja do niego: No, Dominatio
vestra niech się postara o cygara,
bo są nowi Melsztyńscy.
— Co Pan mówi? Impossibile

Domine! Podwoływszy się z nim
przynoszę z głębi archiwum księgę, w której
ostrożnie ową kartę fałszowaną wpra-
wiłem — a muszę dodać, że sfabry-
kowałem ją tak trudno, że wszyscy
w archiwum przysięgli, że Zarzecius
musi się złapać — i pokazuję mu.
Zarzecki złapał się za głowę.
— Niesłychane! więc tego Win-
centego ścięli! Na co to zeszedł!
Potomek magnatów! a syn
tylko famulus! już żaden no-
bilis miles! nepotrbus! więc
on miał jeszcze wnuków! Trzy
nowe pokolenia! znakomite
odkrycie! I ożeniony z Kiśliń-
ską, z mieszczanką! Niesły-
chane! Tyle, że im ta kamie-
nica na Gołębiej została! Muszę

/.

to zaraz odpisać"! Dla przekory podyktowałem mu zapiskę, a księgę i stronę umyślnie fałszywie mu podałem, księgę zabrałem na półkę, a kartę oczywiście napowrót wyjąłem.

Na drugi dzień przybył Zarewicz z czterema wybornemi cygarami ze specjalitetów i powiada: Domine! To niesłychane odkrycie! Drugi Zborowski Samuel! Taki magnat i ścięty! A tyle razy miałem tę księgę w ręku i nie zauważyłem! Ad videndum – idę do domu, muszę tę rzecz opracować. Fanatus! Metafizyczny fanatus! To niesłychanie ciekawe.

Co parę dni przychodził Zar. i opowiadał, jak praca jego rośnie,

sam artykuł o trecentystach i Ra-
faelu wynosi 2 arkusze ... w krótce
odda do druku ....

Sumienie gryzło mnie trochę od początku, bo pierwej myślałem, że mnie zaraz jako żart się wyjaśni lub Ż. pozna podstęp, tymczasem musiałem i pracować w najlepszej wierze — to było nieco za dużo na żart — ale jak ~~ta~~ zgrabnie się wywinąć?

Wtajemniczyliśmy więc z Sokrzyńskim — który był drugim asystentem — Adjunkta Kwiatkowskiego i Prof. Ułanowskiego. Każdy z nich spotkawszy Zar. i usłyszawszy od niego historyę owego nieszczęsnego Mokotyńskiego, mówił mu, aby nie wierzył, że musiał naukowo źle odczytać, albo że to inne osoby, że w kronikach były tylko coś o księciu

/.

wnieckiego Melsztyńskiego — ale Zar. odpowiadał: ~~Czasem~~ na białem czytałem, nie ma co mówić, Nihil disputandum — będzie przebieg kon-cowy rozdział w mojej pracy.

Gdy więc przymówki nie zachwiały jego powagi, zapytał go Ułanowski raz będąc w archiwum, aby pokazał ową zapiskę. Zar. podyktował Numer księgi i stronicę — przynoszą ją z półki — zapiski ani śladu. Ale Zar. pewny swego odpowiada: nie ma co mówić — musiałem stronę źle za-notować, ale widziałem, czytałem, przez lupę badałem i dosłownie za-pisałem — sam p. Bąkowski dykto-wał!

— To być nie może... nie zdaje mi się — powiada Ułanowski; bez zapiski

nie można dublować, trzeba sprawdzić
może mylnie odczytano. Ale Zas.
omal nie obraził się o to: przecież
nie od dziś dnia czyta stare księgi
zwarty p. Bałłowski i Siekierzyński
widzieli, no nie prawda?
— No… to jest… zdawało nam się, że
to Metrtyński … może pomyłka…
— Ale żadna pomyłka, ja się znam
na tem.

Nie chciałem odwagi przyznać się
do winy, Zas. uparł się i trudno go
było z błędu wyciągnąć, suszyliśmy
głowę jak z tego wybrnąć.

Jednego dnia gdy Dr Bobrzyński
Dyrektor archiwum był w biurze
usłyszeliśmy z progu dobrze
znane: Bonus dies, Domini!

./.

i wrzeł Żar. Oczywiście zaraz opowi-
dział Bobryńskiemu o wszystkiem
odkryciu zupełnie nowych szcze-
gółów, o zgonie Wincentego, o
~~jego upadku~~ jego polemików do stanu niewczesne-
go i zakończył — że na najbliższem
posiedzeniu Komisyi historycznej
Akademii odczytana rzecz o tem.

Gdyby Bobryński uwierzył był, a
potem się dowiedział o figlu, mógł-
by mi nie darować, żem go po-
zwolił wziąć na kawał — więc za-
raz, gdy Żar. zaczął opowiadać, sta-
nąłem za nim i na migi ple-
ców pokazywałem Bobryńskiemu zna-
ki wątpliwości, pisałem na dłoni
palcem itp. tak, że Bobryński się
połapał zaraz i rzekł: Ech... to mi
się nie zdaje.. gdzież ta zapiska?

Naturalnie nie można jej było

zwalczać, Bobrzyński więc zboczył
na wyrażenie wątpliwości, ku mnie
zwróciwszy zagadał o czem innem, —
a gdy Zar. zaczął w drugim pokoju
szperać po księgach — ze skruchą
przyznałem się mu do winy i prosi-
łem o załagodzenie sprawy. Gdym
mu pokazał podebraną kartę, przy-
znał Bob. że doskonała, a gdy się
uśmiechnął, nie mogąc już mię besz-
tać i obiecał załagodzić sprawę — ja-
koż za chwilę odezwał się: Panie Zare-
wicz, mam tu parę słów do pomó-
wienia z panem na osobności. Wziął
więc Zarewicza do ostatniego pokoju —
a ja za kapelusz i w nogi, bo nie
mogłem odwagi spotkać się z Zarewicz.
Gdy z plant ujrzałem, że Zarewicz
wyszedł zachmurzony z Bobrzyńskim

./.

poszedłem do biura dowiedzieć się, co się stało, a Kniaziołuckiemu tak mi zdał sprawę: „Z początku było słychać rozmowę – nagle doleciał podniesiony głos Carewicza: To być nie może! potem znowu rozmowa – wtrącenie Bob. Dalej mu opowiadał i znowu głośniejszy wykrzyk Carewicza: Ja sam widziałem, czytałem. Czarno na białem! potem: Przez lupę czytałem!... Czy być może?... Naprawdę!? To niemożliwe – znowu długa rozmowa – potem wrócili Bobrzyński i Carewicz podali sobie ręce i poszli."

Przez parę dni, ile razy byłem w archiwum, wyglądałem przez okno, a gdy ujrzałem Carewicza, umykałem bocznemi drzwiami. Aż jednego dnia gdy siedziałem zamyślony, usłyszałem za plecami smutny głos: Bonus

dziś, Domine! Odwróciłem się i zoba-
czyłem poczciwego Zarewicza smut-
nego, ale nie gniewającego się i po-
dającego mi jak zwykle rękę na po-
witanie. Skoczyłem więc z miejsca i
zacząłem go przepraszać prawdziwie
serdecznie, bo mi go żal było. Zar.
oświadczył, że się nie gniewa, ale mu
żal ostatniego rozdziału [illegible]-
[illegible]. Taki byłby efektowny! ale jak
pan z siebie dokładnie to wyfabryko-
wał! Aby mu więc oszczędzić ~~obra~~-
~~żonego~~ żalu z względu na kawał, sam
w niego wmówiłem, że byłbym zaraz
poznał — i że nie to czytałem — tylko
że spojrzał pobieżnie i uległ
suggestyi, że zaraz księgę zabra-
łem, aby on dokładnie się nie przypa-
trywał, że każdy na jego miejscu

/.

byłby tak samo uwierzył i t. d. Tak powierzyłem go, byliśmy znowu przyjaciółmi, a mnie kamień z serca zleciał, prawdziwie młyński kamień.

Zajęcie w archiwum i redakcya „Przeglądu” zajmowały mi tyle czasu, że już Czytelnią mało się zajmowałem, zwłaszcza, jak nastały sprzeczki, o których poprzednio wspominałem.

Odtąd też (tj. od tych sprzeczek) zaczęła gasnąć sympatya ogółu dla młodzieży, np. wieczorki Mickiewiczowskie, urządzane przez Czytelnię, na które dawniej się dobijano i przepłacano nadwyżkami bilety, zaczęły coraz mniejszy dochód przynosić. Wieczorki te, przez Czytelnię skromnie z początku zainicyowane, z cza-

74

Otrzymałem od Kol. Bąkowskiego 851 złr (osiemset pięćdziesiąt jeden złr.) 20 kr. 2 dziesięciomarkówki złote, 20 kopiejek, jako czysty dochód z tegorocznego wieczoru Mickiewiczowskiego — i z odbioru tejże sumy kwituję.

Kraków dnia 3 grud. 1882 r.

J. Pawlikowski

dym ruchem stawały się w latach 1878 – 1883 popularniejszemi, o wybór Komitetu walczono jak o wybór prezesa Czytelni, od pomysłu począwszy odbywał Komitet wszystkie posiedzenia, narady, rozsyłał zaproszenia, zamawiał i dekorował salę, który pod kierunkiem Barabasza – urządził się bez końca, a wieczorki celebrowano jak ważnej bitwy.

W r. 1882 miałem zaszczyt być prezesem Komitetu urządzającego ten wieczorek, który przyniósł najwyższy ze wszystkich dochód bo 851 zł. 20 ct. 2 dwudziestomarkówki złote; 20 kopiejek czystego dochodu, jak świadczy obok załączony kwit Prezesa Czytelni który właśnie odnalazłem i który mi przypomniał.

ten wypadek. Właśnie wtedy była
górna sala Sukiennic i tę wynaję-
liśmy na ów wieczorek. Sala była na-
bita i możnaby dwa razy tyle biletów
sprzedać, gdyby była jeszcze większa sala.
Zwrotny dochód brutto był ogromny, nie-
stety wydatki były bardzo znaczne
bo przy takiej okazyi każdy oszczędził
niby za wszystko słono liczył, za każde
wbicie gwoździa, przymocowanie czegoś,
pozyczenie trzeba się opłacać, budowa
estrady, zrobienie i wyniesienie z sal
krzeseł, muzyka wojskowa, nuty, deko-
racya Słonki, porto etc. kosztowały
kolosalnie - a i tak 850 złr. zostało!

Po paru latach zaszedł dochód do
kilkunastu guldenów, gdy się nie-
czrobki zapośredniczały, a prelekcyo-
nalne przemowy na ich przerzeń
Czytelni części publiczności zraziły się-

potrzebnie — ~~tembardziej, że~~ chociaż mówili że to tylko chwilowy szum, nikomu nie szkodliwy, nie było więc co brać sobie ich zbyt do serca.

Nareszcie jednak trzeba było zająć się właściwem swojem zadaniem tj. egzaminami. Z kolegą Rozwadowskim wzięliśmy się więc do nauki, — dawnego towarzysza i przyjaciela Srebrzyńskiego przegrzebaliśmy w Tarnowie — przychodziłem tylko na obiad i kolacyę do Matki, a zresztą mieszkałem i nocowałem u R. — kuliśmy wysiadując bo do 2 lub 3 w nocy — i z końcem listopada zdaliśmy egzamin i rygorozum ~~ogólne — styczniowy w lutym administracyjny, potem rygorozum historyczne.~~ sądowe, 16 lutego 1884 administracyjne — i wstąpiłem do sądu

1/.

na praktykę uczyć się do rygoro-
sum historycznego już z drugim
kolegą, Kamińskim, z powodu zme-
niewienia się Rozwadowskiego.

Zdecydowany byłem zostać ad-
wokatem, gdyż nie czułem się uspo-
sobionym na urzędnika, a wówczas
było tyle koncypientów adwokac-
kich, iż wielu za darmo było u
adwokatów. Mając jedynie 20 zł
i coś z lekcji
miesięcznie jako sprawozdawca są-
dowy „Czasu" z obawą patrzyłem, czy
znajdę wolne miejsce płatne u
adwokata. Właśnie Abraham, któ-
ry był koncypientem u adw. Dr. Pie-
niążka, zdecydował się jechać do
Berlina, aby się habilitować — za
namową Bobrzyńskiego — na docen-
ta prawa kanonicznego, gdyż



Moja promocya

Dunajewski
rektor



powstała nadzieja opróżnienia
tej katedry po Hejrmanie, Abraham, ~~i ten~~
odstąpił mi swego miejsca u
[krata] Prenwarka z pensyą 40 zł mie-
sięcznie, ale z warunkiem na-
tychmiastowego objęcia posady.
Brakowało mi 12 dni do ukoń-
czenia przepisanej rocznej prak-
tyki sądowej, ale zdecydowałem
się ją odłożyć i zostałem kon-
cypientem adwokackim, po czem
w parę dni już chodziłem na
terminy — w tydzień coś przybyłem
we fraku i prosto z terminu po-
biegłem naprzeciwko do Collegium
iuridicum, aby odbyć promocyą
moją doktorską.

Po 3 latach praktyki adwo-
kackiej ~~zdałem~~ po doktoracie

/.

zdałem egzamin adwokacki.
Gdy potem przyszło do otwierania
kancelaryi adwokackiej, musiałem
dodatkowo prosić o dopuszczenie mię
na praktykę sądową - 12 dni, i odby-
łem takową, ~~prawie jako~~ a po
załatwieniu tej formalności wpi-
sany zostałem na listę adwoka-
tów z siedzibą w Krzeszowicach, urzę-
dową, gdyż mieszkałem nadal
w Krakowie, z którym nie mogłem
się rozstać, a codziennie rano
jeździłem koleją do Krzeszowic, aby
wieczorem znowu powrócić, przez lat 15 aż
w r. 1906 przeniosłem kancelaryę mą adwokacką do Krakowa.
Jak po skończeniu gimnazyum
zerwały się dawne kolegeńskie zna-
jomości a powstały nowe akademic-
kie - tak po skończeniu studyów
uniwersyteckich znowu rozeszły

się drogi naszę, przybyły nowe
znajomości i przyjaźnie i
w nowych odtąd żyło się kołach,
a z dawnych znajomości niewiele
zostało. [illegible] i życie było zupeł-
nie inne, pierwej dążyło się do
~~czegoś~~, jakiegoś stanowiska z ró-
żowemi nadziejami. Doszedł-
szy tego stanowiska tj. normal-
nego, codziennego, poważnego
źródła skromnego zarobkowa-
nia, — stałem się zarobnikiem
z troską o jutro, z walką o byt,
twarzą w twarz prozie żmudnego
życia... Skąpe miałem dochody z
adwokatury, a musiałem płacić
mieszkanie w Krzeszowicach, i w
Krakowie, gdzie właściwie przy matce
czułem się w domu.

Dopiero w r. 1906, gdy otrzy-
małem zastępstwo spraw prawnych
Gminy M. Krakowa i Banku Kra-
jowego – mogłem nie obawiać się
biedy na starość, mogłem zacząć
oszczędzać części dochodów i skła-
dać na procent do Kasy Oszczędności.
Dewaluacya przemijająca po 1918
r. nadszarpnęła mi te oszczędności,
ale na szczęście większą część ulo-
kowałem w nieruchomości, ku-
piłem w r. 1912. Kamienicę na
ul. św. Jana 12. Co więc na ten
cel łożyłem do 1918 r. – to nie
uległo dewaluacyi. Wprawdzie
Kamienica nie przynosi mi do-
chodu jak 2%, ale jest dobrze
utrzymaną i miło mi mieć
własny dach nad głową.

Wspomnienia szkolne spisałem tylko ze strony zarobkowej, gdyż zamierzałem po 10 latach od daty matury zgromadzić kolegów i jako wesołą pamiątkę czasów studenckich wręczyć im wylitografowane lub drukowane wspomnienia ze wspólnej ławy szkolnej – co do skutku nie doszło. Wspomnienia te więc dla obcych, którzy je może czytać będą, potrzebują uzupełnienia.

Wszystkie lata szkolne przebyłem już w epoce konstytucyjnej (1867 – 1883.) Nie było więc już dawnego ucisku germanizacyjnego, język polski zapanował już w szkole, duch patryotyczny, który i pierwej zawsze panował po cichu, mógł się teraz na zewnątrz śmielej wyjawiać. Pokolenie starszych, które przeżyło utratę „konstytucyi" z r. 1848, bało się o utratę obecnych swobód z r. 1867. i dlatego bało się wszelkich demonstracyj publicznych, aby nie drażnić Wiednia – [illegible], aby im znowu

jaki patent cesarski nie odebrał wolności zapewnionych ustawami zasadniczemi z r. 1867 i choć sami najlepsi Polacy po cichu, głośno manifestowali lojalny spokój, równowagę, zapobiegali demonstracyom krzykliwym. Tych zwano „szwarcgelberami" – byli to urzędnicy wyżsi, dyrektorowie gimnazyum, prezesi sądów, dyrekcji skarbowej i t. p.

Młodzież oczywiście potrzebowała wylać swe uczucia swobodnie i czy potrzeba, czy nie potrzeba manifestować swe uczucia patryotyczne polskie, więc przy każdej okazyi śpiewała pieśni patryotyczne, – demonstracyjnie, z opuszczeniem godzin szkolnych, szła na nabożeństwo za poległych z r. 1863 – 1846, 1848, z rocznice śmierci Mickiewicza, Kościuszki, powstań i t. p. W święto policya konsygnowała swe siły, tu i owdzie np. na cmentarzu w dzień zaduszny, rozpędzała demonstrantów, zdzierała afisze zapowiadające nabożeństwa za poległych, aby jaknajmniej na nie przyszło osób.

Największą trudność mieli dyrektorzy szkół, gdyż nakaz i ceremoniał wymagał, aby na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego, w imieniny cesarza, odśpiewano hymn austryacki na chórze. Tu gromadził dyrektor chór czyli zapisanych na naukę śpiewu, kilku od czasu do czasu pomagali organiście, inni otwierali usta markując śpiew, organy brzmiały głośno i jakoś ten hymn doszedł do końca. Raz, gdy obchodzono 25 lecie małżeństwa cesarza z cesarzową, biedny dyrektor Stawarski wpadł do naszej klasy i od drzwi prędko wykrzykiwał: Jeżeli hymn cesarski jutro dobrze wypadnie, to pojutrze będziecie mieli cały dzień wolne! i nikt co żywo. Gorzej było, że ceremoniał wymagał aby wstać z siedzeń podczas hymnu. W gimnazjum Św. Anny niższe gimnazjum stawało w nawie, wyższe dla braku miejsca siedziało z ławkami. Gdy więc zaczęto na chórze brzęczeć hymn, robił się rumor, siedzący wstawali

i wychodziło z ławek szykując się od
razu w szeregi, co miało znaczyć
„że wołali z ławek", a w połowie tym-
czasem zaczynano schodzić z łoskotem
przy głośnem szastaniu nogami.
Był więc i w tłoku tym i owa cnota.
Zresztą wychowanie było na
wskroś patryotyczne, bo nauczy-
cielami byli już przeważnie polacy.
Już w normalnej szkole u Larysza
w każdej klasie wisiały tablice
z portretami królów polskich
i objaśnieniami krótk. pod nimi,
a każdy chłopiec umiał doskona-
le zaszeregować chronologię Pia-
stów, Jagiellonów, królów obieral-
nych. Stary nauczyciel Mirske
podyktował też nam kronikę krótko-
wą polską wierszami, które
każdy umiał na pamięć.
Nie było drukowanych śpiewo-
ników patryotycznych, więc w gimn.
każdy miał osobny zeszyt, w któ-
rym kaligraficznie miał spi-
sane pieśni narodowe. Nauka

była od 8 – 11 rano, w środy i
soboty od 8 – 12, bo w te dni popoł.
było wolne, gdyż i popołudniu
odbywała się, prócz środy i soboty,
nauka od 2 – 4 w miesiącach zi-
mowych, od 3 – 5 w letnich. W środy
i soboty więc szły klasy, same lub
najczęściej z którymś nauczycielem,
na wycieczki w okolice miasta, a
wracając śpiewaliśmy aż do o-
chrypnięcia pieśni narodowe. W
ten sposób poznaliśmy każdy kamień,
każdą ścieżkę na Bielanach, Woli,
Dłubni, Zwierzyńcu, Tyńcu, Ża-
bierzowie. Sport w dzisiejszym
znaczeniu był nie znany. Gry-
waliśmy tylko w piłkę nożną
na Błoniach z wyścigami do mety.
Gimnastyka była przedmiotem nado-
bowiązkowym, jak śpiew i język fran-
cuski, i mało uczniów uczęszczało
na te przedmioty – ślizganie się
na [illegible] uważane było za ło-
buzostwo – dopiero później gdy

powstał w mieście Klub Łyż-
wiarzy, ślizganie wypadło z
nietaśli profesorów i rodzi-
ców. Historya polski była także
przedmiotem nadobowiązkowym
a 2 godziny były w dnie wolne
od nauki (popoł. w środy i sobo-
ty) więc nie były licznie odwie-
dzane, ale nauczyciele obo-
wiązkowej historyi powszechnej
uwzględniali najbardziej hist.
polską, więc de facto nauka ta
była prowadzoną. W Bibliotekach
szkolnych były książki dotyczące hist.
polskiej szczególnie protegowane.

Około 1878 r. zaczęto urządzać po
gimnazjum wieczorki Mickiewiczowskie
na których popisywali się deklamatorzy,
i uczniowie grający na skrzypcach lub
fortepianie, jeden z uczniów wyższych
klas miał odczyt, który był cenzurowa-
ny przez któregoś z nauczycieli, aby
nie był zbyt czerwony.

Uczniów było mniej, uboższa rasa-

biali lekcyjami, mieszkali po bursie
po gimnazjach tworzyli zrzeszenia. To,
wszystko pomocą koleżeńskiej — nie
było publiczną częścią zebraniowy
Jak się to później znacznie wyro-
sło. Ubodzy akademicy zarabiali
lekcyjami, jako pisarze u adwokatów,
notaryuszy po sądach urzędach i obo-
pedytach, bywali statystami w tea-
trze i chórzystami w operetkach,
jeden był [illegible] na Wawelu w
katedrze a jeden — stróżem nocnym
z halabardą! Dziś panny objęły
wszędzie pisarki i trudno akademi-
kom wobec ogromnej konkurencyi
znaleźć posadę, zwłaszcza, że [illegible]
nadzwyczaj potrzebne jest wyraźne
pismo ręczne, a wobec zupełnego
zaniedbania w szkołach kaligrafii
wszyscy studenci piszą ohydnie, żaden
nie potrafi napisać ładnie na-
główka na dokumencie lub aktach.
(I w ortografii dzisiejsza mło-
dzież także bardzo szwankuje).

Nadmiar sportów wyrabia grube ręce, zwłaszcza niezdolne do rysunku lepszego lub do porządnego pisma — kto więc potrzebuje siły pisarskiej, prędzej znajdzie je i lepsze między pannami.

W czytelni akademickiej bywały odczyty, deklamacye, śpiew, fortepian, razem skrzypce i wiolonczela, później mandoliny. Wyrabiało to i przygotowywało siły literackie i artystyczne. Wybryki trafiały się bardzo rzadko i to więcej na żarcie nie raz naciąganym, niż na złośliwości opartej. W czasie komersów najłatwiej o to było, ale zawsze znalazło się paru starszych poważniejszych, którzy miarkowali hałasy i pilnowali „godności akademickiej.” Na zgromadzeniach bywali i gaduły i reformatorzy, doktrynerzy i idealiści którzy przeciągali posiedzenia do późna w noc, po r. 1882 zawsze dużo mówiono o sprawach politycznych,

co wyprodukowało najgorętsze a bezpłodne dysputy — potem się uciszało i wracało do gazet, książek, nauki i zabawy. Wszystkie mowy były zawsze gorąco patriotyczne bo duch ten przyjmowali nauczyciele i uczniów zarówno.

Ogromne było zainteresowanie się literaturą i teatrem, wszyscy uczniowie, nawet tępsi czytali dużo. Teatr dawał 100 biletów na parter po połowie ceny dla młodzieży, 80 do Czytelni akad. 20. do Gimn. św. Anny. Kosztował więc 25 centów potem 30 c., oraz 2 centy na Bibliotekę Czytelni. Gdy brakło w Gimnazjum biletów, szło się do Czytelni akad. i o ile tam nie sprzedali już akademikom, to odstępowali gimnazjalistom. Parter był stojący, tylko pod ścianą biegła ławka. Szło się więc już o 5 popoł. pod teatr, a gdy o 6. drzwi otwarli — runęła masa

studenta do środka zdobywając pracowne miejsca. Tłumno było, że wszystkich nie wsadzić, bo bileter na stary rachunek potem wpuszczał tego i owego, a wówczas trwało przedstawienie do północy np. Hamlet, Otello i inne Mamuty, nogi więc miały co wytrzymać! Nawet młodzież z zamożnych domów chodziła tylko na parter. Garderoby nie było, w zimie więc tylko kilkunastu zdołało z boku na gwoździach powiesić paletoty, reszta tkwiła w nich, chyba że przedstawienie było nie dość obsadzone, to wtedy zdejmowali okrycia i trzymali na ręce, lub czasem układali na ławce pod siedzeniem. Podczas antraktów szumiało jak w ulu, po przedstawieniu akademicy gorącego partera decydowali o losie sztuki.

Akademicy dostarczali na wszystkie bale i zabawy domowe tancerzy, byli poszukiwani jako dan-

sery i ... (przyszli) kandydaci do małżeń-
stwa. Nie było wówczas jeszcze prze-
pełnienia zawodów, a studenci
mieli wszelkie widoki na posadę
po zdaniu egzaminów — więc
byli candidatus natus do mał-
żeństwa. Bardzo wielu odzna-
czało się werwą, humorem,
tańczyli na umór do samego
rana; tacy brali do kieszeni
parę 2 kołnierzyki zapasowe i drugie
rękawiczki, aby je po przepoce-
niu zmienić w garderobie.
Dobijano się o honor należenia
do komitetu balowego — a powie-
rzenie [illegible] przygotowania
tańców było wyróżnieniem zaszczytnym;
absolwenci mogli dochodzić tytu-
łu do wicewodzireja, bo bale
publiczne miały wodzirejów
w parze poważniejszych pa-
nów [illegible] już na stanowiskach
będących — aspirantów

drobnomieszczańskie (owczesne) kończyły się sła-
le przetrwały „zwalniowodzących
wodzirejów pp. Chwalibogowskiego i Łagiewskiego, pod
którymi (dzięki którym) niezmiernie zabawa
przeciągała się do białego rana".
Im do pomocy służyli dobrzy
tancerzy z akademików, bo
zwłaszcza w kadrylu ustawiano
dwa rzędy w sali Łaskiej (na
wydanym balu było około
100 par) na krawędziach wodzireje,
vis-a-vis (z kokardami, ustarkami) adjutanci
i na przeciwległym końcu
par kadrylowych (vice adjutanci). Mazur trwał
2 godziny, razem z przerwą.
Na początku zawsze był polonez,
przytem było wiele dyskusyi
co do porządku, kto ma iść w
pierwszej parze i z kim, kto w
drugiej, etc. – do prawdziwej

86

poraz stawały owe dowodnie.
Wojskowi nie byli mile wi-
dziani i oficerowie początkowo
nie garnęli się wcale, bywał
tylko komendant korpusu, ad-
jutant i coś z arystokracji
niemieckiej wojskowej. Dopiero
później, gdy polacy byli licz-
niejsi w korpusie oficerskim,
zaczęli gęściej się pojawiać, a w
końcu gdy komendantem
był Jen. Albori, gdy zmieniły się za-
sadniczo sytuacje polaków,
cywilny miasta, odkomenderowano
wyraźnie na każdy bal z każdego
pułku po paru oficerów, polaków
i z arystokracji austr. - tak powoli
ułożył się przyjaźniejszy stosunek
do wojska, zwłaszcza gdy to nie-
kiedy wszelkich starć, oficerowie
byli gośćmi, wielu mówiło po
polsku, a niemal wszyscy wojskowe
zaczęli grać i pierwsi patryot.
polski.

Pamiętam, bardzo obchód narodowy był obarczony do manifestacyi, gdyż młodzież wszędzie oczy wszczęła gremialnie udział brała a wśród niej oficerowie polscy z jednorocznych mianowani. W takich razach wojsko dyskretnie dostawało rozkaz, aby się na ulicach zbytnio nie pokazywać i unikać wszystkiego, coby mogło zamącić obchód.

Na wieczorku Mickiew. w r. 1879. na froncie chóru stanęli Floryan Papée i Jan Koźmiński w galowych mundurach artyleryjskich jako jednoroczni i śpiewali ostentacyjnie „Jeszcze Polska nie zginęła” w chórze „Pieśni filaretów”. Entuzyazm natłoczonej sali nie znał granic.

Pochody bywały z muzyką salinarną z Wieliczki lub Bochni, bo wojskowym orkiestrom nie wolno było brać udziału w

czym byli podwładni — ale w Sali
Dworcowej i w Teatrze, grała muzy-
ka wojskowa przy wszystkich u-
roczystościach. A były w Kra-
kowie 4 orkiestry, bardzo dobre
wspaniałe
z których jedna zwykle celowała
i ta grała po koncertach i w
teatrze, nawet operetki i opery.
Wybitnymi kapelmistrzami
byli: Dawniej Sanger, potem
Placht, który zżył się z miastem
i bardzo był lubiany, poma-
gał Kazimierzowi Hoffmanowi
przy instrumentacji muzyki do
"Kościuszki pod Racławicami"
"Wróżki", uzdolniony twórca
marszów, mazurów, walców itd.
rozpoczął karyerę jako feldfe-
bel muzyki wojskowej. Niedzielski
dyr. Tow. Muz. i potem Żeleński
utrzymywali bliskie stosunki
z orkiestrami wojskowemi.

Przeglądnąwszy te wspomnienia w r. 1920, gdy pożądanej doczekaliśmy się niepodległości ojczyzny, o którą tyle lat modliliśmy się i ze łzami śpiewaliśmy: Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić Panie! widzę, że szkoły nasze wychowały pokolenie rzeczywiście miłujące tę ojczyznę, bo gdy nadeszła chwila nadziei, że już wywalczymy, młodzież polska zaboru austryjackiego poszła tłumnie pod sztandary legionów, a potem w szeregi odpierające najazd bolszewicki i to młodzież wszelkich stanów, czy wykształciła się tylko w szkołach niższych, czy też i wyższych, bo szkoła

umiała zachować nawet
pod obcymi rządami charakter
polski i kształciła młodzież
w duchu prawdziwie polskim.
Oby młode pokolenie kształ-
cące się w polskich niepodległych
szkołach pracowały dalej dla
dobra ogółu i zdołały roznieść
poczucie miłości ofiarnej
dobra ogółu na najszersze
ludowe warstwy, dla których
nauka dotąd była trudno
dostępną lub mało cenioną!

Stary mój druhu! i jam też wzruszony
Lecz tego łatwe i proste znaczenie,
Oto przy boku ukochanej żony
Składam na wieki święte przyrzeczenie!
Życie przybiera dla mnie innej postaci
Ja awansuję w społeczeństwa kole
Oto z młodzieńca – mężem trzeba zostać,
I Tobie radzę przybrać taką rolę.
Bo gdyśmy – razem – po plantach krążyli
Y
I nigdy z sobą nie przyszli do zwady,
Gdyśmy zgodnymi przyjaciółmi byli
Wierz ci wypada pójść też w moje ślady.
Będź mym kolegą i jako żonaty
Lecz się w tym względzie zdaj w me
doświadczenie
Nie myśl, że tylko przy bardzo bogatej
Znajdziesz swe szczęście – prawdziwe
wytchnienie!
Trochę pieniędzy przyda się bez =
sprzeczenie –

Lecz trzeba zważać na cnoty - na zdrowie
Bo pomyśl, że to tak żyć trzeba wiecznie -
I to przykładnie „solid" co się zowie

Na Twoje ręce wszystkie lebemany
Pozdrowić pragnę w ważnej dla mnie chwili
A Ciebie proszę Bąku mój kochany
Wspomnij choć czasem żeśmy razem żyli!

Kraków 8/11 82

Jan Jakubowski

Echa ze ślizgawki – Obraz Wilemcusa Bąkowskiego

Myślą gonię w przestrzeni białą postać w dali
Stopa ledwie dotyka brylantowej szyby
I lecę i dobiegam – serce młotem wali
Szaty skraweń już chwytam – i schwyciłbym gdyby –
Gdyby nie przeklęte zdobyte stromki – za późno odgadłem
Że i tym razem znowu – na lodzie osiadłem!
Więc w wściekłość wpadam rozkoszną – jak nieboszczyk Heine
A orkiestra gra ciągle: „Fischerin du Kleine"!

Kay

Kraków 20 Marca 1890.

Kochany Panie Klemensie!

W rożne się strony gusta Twe rozbiegły
Bo z ciebie malarz i historyk biegły
I wiersze piszesz z rymów bardzo trudnych
I znawcą jesteś obszarpanych brudnych
Murów krakowskich, jego bram, kanałów
Kościołów świętych, żydowskich kahałów
I szukasz z gustem do pracy podniety
W rozlicznych kształtach Anioła - Kobiety
I jesteś szewców cnych prezesem pono
A w Krzeszowicach jak mi doniesiono
Rzucasz na miasto wielkie światła łuny
By nie zbijały swych nosów kołtuny
A nadto wszystko a raczej po za tém
W wolnych Twych chwilach — jesteś adwokatem.
Więc zgadniesz łatwo jak ci w dzień imienia
Trudno z tych gustów uwiązać życzenia.
Czy ci mam życzyć sławy estetyka
Archeologa czy też historyka
Czyli poety laurów czy sławy malarza
Czy najpiękniejszego z lampiarzy lampiarza
Czyli powodzeń w roli Don Juana
Czyli też wreszcie byłaż ci była dana
Sława a za nią zawsze pełna kasa
Igrającego z prawem Mecenasa
Nie wiem co życzyć — więc by skończyć mękę
Przyjm uścisk szczery z przyjaciela ręki.

Kraków 23/XI 95

Amandus Koy

Paweł z Tarsu: „Gdybym znał wszystkie księgi; gdybym mówił językami anielskimi i ludzkimi, a miłościbym nie miał, – byłbym jako miedź brzękająca; jako cymbał brzmiący." –

Jest li pogodna aura, jest li błoto,
Zawżdy umkniesz Waćpan po Rynku z ochotą.
Jestli wiatr srogi, albo słońce piecze,
Waćpan się miejskim wirydarzem wlecze.
Okrutne mrozy, żarliwe upały
Najodważniejszym, dawno już przywrzały,
Waćpan, jak Orbis terrarum w swym biegu,
Zjeżdżasz na nocleg – odjeżdżasz z noclegu.

Jeden się uciech Bachusowych ima,
Jeden noc całą kości w rękach trzyma,
Jeden do dziewic bywa nadto skory
Drugi zaś inszych uciech ma przybory.

Tobie takowe zgoła nie są w głowie,
Myślisz i marzysz tylko o Krakowie.
A gdy foremne do snu zamkniesz oczy,
W sennych widziadeł rój — Kraków się tłoczy.

Pióro zaś gęsi z ogona wydartszy,
Mapy dokoła stare rozpostartszy,
Toniesz w nauki różnorodnych fruktach,
Jak nędzny żeglarz w rozbujałych fluktach.
I własnej szkuty styr kierujesz sprawnie,
Jako w Krakowie było starodawnie.
Cursus fluminum wywodzisz misternie
I odkopiujesz go w „Roczniku" wiernie.
W poezyi zasię jest Waść też peritus —
Więc grzeczne rymy piszesz jak Tacitus.

Rozwikłasz sprawy, niby Józef Snowidz,
Dlatego co dzień jeździsz do Krzeszowic.

94

Wśród miłośników zabytków rej wodzisz,
Dlatego pilnie po Krakowie chodziszs.
A Angielczyków mając włos i ruchy,
Żeś jest Krakowski Anglik - chodzą słuchy.

Lecz tempus fugit, - żywot ludzki bieży,
Dzwon pogrzebowy zajęczał na wieży,
A dusza Twoja, wzniósłszy się nad Kraków,
Tęskliwie błądząc wśród niebieskich szlaków,
Do furty niebios skwapliwie zapuka....
Aliści próżno otwarcia jej szuka....
Próżno klemencyi błagasz, cny Klemensie,
Bo się ex ira stary Piotr aż trzęsie....
Uchylił bramy... alić trzasnął drzwiami.
- „Zimne Ci serce biło pod piersiami,
„Choć więc historya Waści sławić będzie
„Duszę paść będziesz na piekielnej grzędzie.
„Tam szczypać trawę takiemu przystoi

„Co się białogłów i amorów boi. —
„Pławiony w smole, szarpany kleszczami,
„Ciągniony kołem, włóczony hakami
„Oczy wywracać ku niewiastom będziesz,
„Ale naprożno — żadnej nie posiędziesz.
„I jak Tantalus będziesz — pro aeterna
„Pragnął — choć bliską i pełną cysternę.

[illegible]

Otrzymałem od anonima
w r. 1902.

Poczciwa Grzegorzowa.

Do r. 1897, kiedy śmierć zabrała mi najukochańszą matkę, mieszkałem z nią w jednym pokoju z kuchenką, nie troszcząc się o nic, bo matka prowadziła całe gospodarstwo domowe. Od 1881 do 1894 posługiwała jej stara Maryanna, kobieta dobra, lecz swarliwa, przeto czasem matka nie była z niej zadowoloną. W r. 1894 przeprowadziliśmy się na ulicę Bracką, Maryanna posługiwała dalej, a gdy zachorowała pomagała jej Grzegorzowa. Nie troszczyłem się o domowe porządki, więc wiedziałem od matki tylko tyle, że pomocnica Maryanny zwana jest w kamienicy „ciotką", że od dawna posługuje wszystkim w tej kamienicy. W ciemnej kuchni widywałem zgarbioną babinę myjącą talerze, porządkującą systematycznie

graty kuchenne. W jakiś czas zmarła
Maryanna, a ciotka została przez matkę
mą zaangażowaną na stałe do posługi.
Wtedy dopiero przypatrzyłem się jej: zgarbiona
prawie w pół, po wiejsku porządnie ubrana,
w chustce na głowie krzątała się żwawo, po-
znała porządek domowy wnet tak, że matka nic
nie potrzebowała poprawiać, rozkazywać, bo
wszystko było wedle zwyczaju zrobione przez
Grzegorzową. Powoli zacząłem obserwować
poczciwą tę babinkę i rozmawiać z nią.
Grzegorzowa posługiwała w oficynie, posłu-
giwała na I piętrze, na II piętrze, naprzeciw
ko [redacted], znała wszystkich w całej
ulicy, wszyscy spotkawszy ją wołali przyjaź-
nie: „Jak się macie Grzegorzowo?!" „Chwała
Bogu, dobrze" odpowiadała poczciwie uśmiechnię-
ta staruszka i szła temu coś kupić, owemu
przynieść coś, tamtemu z listem na pocztę,
owemu z telegramem, dziesiątemu z innym
interesem. Raz spotykam ją z ogromnym
worem na plecach, czerwoną, a właściwie pon-

(z utrudzenia

sową; bo ~~wszystko~~ ~~była~~ cerą miała z natu-
~~ry~~ już tak czerwoną, że nieznający jej ~~sąsiedzi~~
~~[illegible]~~ podejrzywali ją o pijaństwo, choć nig-
dy wódki do ust nie brała — „Bójcie się Boga
Grzegorzowo" — mówię do niej — „~~po~~co wy tak
dźwigacie? Któż tak starą kobietę może
obarczać?" „E! to nic, tylko ~~mąkę~~ z
daleka, mąkę z Podgórza, więc się trocha
zmęczyłam." ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~
~~[illegible]~~
~~[illegible]~~
~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ i
poszła z worem na piętro. Już po krótkim cza-
sie, jak u mnie, ~~[illegible]~~ a właściwie u mat-
ki, posługiwała, polubiliśmy ją dla jej u-
służności i zawsze dobrego humoru i zaczę-
liśmy się troszczyć ~~się~~ o nią, ~~[illegible]~~
nakłaniając ją, aby mniej pracowała; ~~[illegible]~~
bo pracowała od 4 rano. Gdy wieczorem
po 9 odchodziła do ~~swego~~ mieszkania —

./.

mieszkała kątem u siostry na ulicy Sgo Jana w Krakowie — zabierała od przekupki ogromny kosz pieczywa, z pod którego ledwo ją było widać. Rano o 4 szła z tym koszem do piekarni i przynosiła ten kosz przekupce z bułkami. Potem szła do komiśla, a następnie po mleko, mięso (ranne gazety) i inne posyłki dla tych osób które obsługiwała. Potem cały dzień kręciła się po kamienicy posługując tu i tam, zawsze wesoła, chętna, skromna z uśmiechem, aż do nocy, gdy znowu ze swym koszem wracała na spoczynek. Bóg dał jej zdrowie, że mogła tyle godzin chodzić po piętrach i posyłkach, choć jej wszyscy oszczędzali i nakłaniali, aby mniej pracowała. Rzeczywiście po paru latach porzuciła pracę nocną — tj. nie porzuciła sama, lecz skorzystała z tego, że obsługiwani wyprowadzili się

[a choć drugi raz poszła za mąż i znowu owdowiała, zostało jej nazwisko „Grzegorzowej" po pierwszym mężu, bo drugi, ~~[illegible]~~ podobno był nic nie wart, i nigdy o nim nie wspominała]

gorzelniczej, więc rozpustała ich obie-
gować, a nowych obsług już nie brała.
Ostatecznie miała wyłączne zajęcie w
obsługiwaniu tylko mojej osoby i na-
zywała mnie „swoim panicem".

~~Obuga Dowiadziałem się~~ Co rano, gdy
wstawałem i co wieczór ~~rozmawiałem~~ ga-
wędziłem ze staruszką i tak wiele szcze-
gółów biograficznych ~~się~~ od niej się dowie-
działem:

Pochodziła z Czerniechowa i tam
miała jeszcze dalszą rodzinę. Służyła
początkowo za służkę u którego kanonika ~~Kapit.~~
od r. 1850 i wyszła za mąż za stróża
Grzegorza Waszkę, odtąd zapominano
jej chrzestnego imienia „~~Agnieszka~~ aksentarya" i
zwano ją „Grzegorzową". Po śmierci ka-
nonika i męża była gospodynią u seko-
ratego starego kawalera Dutkiewicza
przez lat kilkanaście, a po jego śmierci

„prania" a potem tylko ~~prania~~

nie przyjmowała już trwałej służby, lecz „posługi." W kamienicy, w której mieszkałem, posługiwała już lat kilkanaście, zmieniali się lokatorowie, a Grzegorzowa zostawała, ciągle przy kamienicy, jakby ~~do niej przywiązana~~ jej przynależność. Poczciwa Grzegorzowa była ~~dumna z tego~~ tem dumniejsza, im więcej miała do roboty i z zadowoleniem ~~mówiła~~: Co ja tu miałam dziś do roboty! ~~byłam~~ pani gospodyni podała mi z obiadem dla biednych, a tu kucharka prosi, żeby jej pomódz ziemniaki skrobać i kurczęta skubać, ledwo skończyłam, a tu mnie pani Piwowska posyła do apteki, spotkałam stróżkę z sąsiedztwa prosi mnie żeby jej wieczór gazety przyniosła bo idzie na chrzciny, lokaj też idzie na chrzciny więc ~~sam~~ także trzeba z niego gazetę przynieść a tu wołają z góry Grzegorzowo! Grzegorzowo! zamknijcie mi drzwi od piwnicy

zamknięte a przynosić tam po środku drzewa
na podpałkę. Nic bez Grzegorzowej, tylko wszystko
Grzegorzowa! Oczywiście nikt nie wymagałby od niej tyle pracy, gdyby wiedział,
że już ktoś inny dał jej co do roboty, ale
Grzegorzowa nigdy się nie odwołała na cudzy
rozkaz. Każdemu chciała usłużyć, nie
umiała odpoczywać. Nudziła się, gdy
nie miała chwilę zajęcia. Gdy leżałem
chory, prosiłem ją, aby sobie siadła i
nic nie robiła, ~~tylko spoczywała~~, aby ~~patrzyła~~
d~~ała oknem na ulicę~~, gdy nie chciała,
umyślnie jej mówiłem, że chcę wiedzieć
co się dzieje na ulicy i prosiłem aby siadła
przy oknie i wyglądając mówiła mi,
czy dużo ludzi przechodzi? jak ubrani?
myśląc, że tak odpocznie. Ale Grzegorzowa powiedziała minutę i zaraz rzecze:
Okno zakurzone trzeba je umyć! i
mimo perswazji zabrała się do mycia
okna!

To mówi, chcąc ją oderwać od jałowej
roboty wdawałem się z nią w pogawęd-
kę. Czasem rozgadała się na chwilę i mówi:
Pani Piwowarska znowu chora, martwi
się o tego malarza, wie pan, tego, co był
to pieniędzy oddać nie chce. — Co za ma-
larza? nie wiem. — Toli pożyczyła mu
Pani jeszcze dawno, dawno tysiąc rubli,
płacił jej procent przez rok, a potem nie.
Pozywała go przez adwokata, wygrała,
ale nie ma mu co wziąć. Więc wczoraj
posyła mnie pani do niego, tam do
Kamienicy Szwarca na trzecie piętro
żeby go prosić o te pieniądze. Idę, ja
idę, a ten malarz, grzeczny pan, powia-
da: Siadajcie sobie matuchno, boście
się na schodach zmęczyli, odpocznijcie
sobie, tu macie szóstkę na piwo,
a potem powiedzcie pani, że jak ja chcia-
tam pieniędzy, to mnie o to głowa
bolała, a skoro teraz pani chce pić,

nogi, to wiech jej, to głowa boli.
To ci pościłkami dopiero malarz! Ale
mnóstwo drzwi umyć, bo zabrukane strasz-
nie! Proszę ją, aby dała pokój drzwiom,
ale Gregorowa już przy nich z wodą i szczot-
ką odpowiada: Niechno panoczek nie
gada po próżnicy, trzeba umyć tymcza-
sem, a na święta to dopiero zrobimy
porządek! (a „od metra") Firanki się upierze, potrzepie
się dywany, wszystko się wypucuje, ku-
rz z szafy powybiera, ubrania przewie-
trzy. Oj! będzie to dopiero robota!

Raz Gregorowa oparła się łokciem
o stół, jak zwykle robiła, gdy chciała
coś więcej opowiadać dłuższego, ~~opowiada~~
~~kolka razy~~ ruszyła głową kolka razy
ku mnie i grube łzy grochem potoczyły
się po jej umarszczonej ~~twarzy~~ wyschłe
tak wesołej twarzy. ~~„Co wam to Gregoro-~~
~~wo?"~~ Zapytałem ją zmartwiony, co
jej jest, co się jej stało. Biedna

staruszka ~~[illegible]~~ nie mogła przemó-
wić słowa, aż wreszcie otarłszy łzy fartu-
chem wyjąkała: Córka mi umarła.

Nic nie wiedziałem wówczas o stosunkach
rodzinnych Gruszkowej i dopiero wtedy ~~[illegible]~~ sta-
ła rozgadała się: „Biedna kobieta! miała
męża takiego niesponia. Nabyło dobrze
poszła za mąż: był woźnym w Czarnym
Dunajcu, miał pensyę. Dałam jej kora-
le, ~~dałam~~ kupiłam zegarek i 2 łyżeczki
srebrne i szal i przyodziewę... a ten niespo-
pił, pił, wypędzili go z urzędu i kobieta się
zatrapiła — umarła — wczoraj ją pochowali.
Nawet na pogrzebie nie byłam... Taka ładna
była kobieta! żeby ją pan widział, widział!..
Dobrze się nazywał: Nowopolski, ale niespo
wszystko przepił."

Żal mi było serdecznie kobieciny, uspo-
kajałem ją jak umiałem, wyprocesowałem
korale i łyżeczki od owego wdowca, a po-
woli wracała Gruszkowa do spokoju i
dawnego dobrego humoru.

~~Nai~~ Jedynym wczasem, jakiego u-
żywała – to pod wieczór, po przyniesieniu
gazety. Wtedy zimą u stróżki gawędziła, latem
siedziała na progu zamkniętego sklepu
pod domem ze znajomą jakąś starszą kobie-
tą z którą opowiadały sobie o swoich zatrud-
nieniach i kłopotach. Nigdy bajek żad-
nych nie roznosiła, a zawsze była chętna
komuś coś dobrego zrobić, bez obo-
wiązku wcale i o obcym dobru pamiętała.
Raz[3] w wakacje w nieobecności właści-
cieli domu spostrzegła, że rura spus-
towa odchyliła się od rynny. Zaraz po-
szła po blacharza, bo jakby deszcz przy-
szedł to by nowo odmalowaną kamienicę
ochlapał i zanieczyścił[4] i kazała mu
naprawić i czekała na zapłatę, ~~póki~~ aż
państwo wrócą.

Raz znowu opowiada mi: „Wczoraj
pod zamkniętą bramą patrzę, a
tu kura jakaś śpi na worku w sieni.

Kura nie nasza, bo pstra, ale przy
noc, nie czas szukać pana. Więc
ją zamknęłam do piwnicy, żeby jej
kto nie ukradł, a rano myślę: „czy to
nie kura od Szczepana w sąsiedztwie
bo u niego widziałam kury? Ale myś-
lę sobie, jak go spytam, to gotów
się gniewać, choćby kura nie była
jego, więc idę i pytam: nie widzie-
liście też tu kury moi, bo mi gdzieś
zginęła? A on mówi: Oj, moja Grze-
gorzowo, to i wam kura zginęła?
bo i mnie zginęła! - A jaka była
wasza kura? pytam. A on: a taka
pstra. Więc ja do niego: - Moja kura
się nie znajdzie, bo mi nie zginęła, ale
wasza to się znajdzie - i dopiero mu
mówię, że kura pstra w piwnicy siedzi,
zaraz oddałam mu ją. A on mówi:
Jakaż to Grzegorzowa mądra! Tak mnie
pochwalił! Jakie to ma sposoby! i

Dał mi różdżkę na pióro. Także na wszystko trzeba mieć sposób, bo nie dość mieć rozum, ale trzeba umieć go użyć. Swojego Konia mam, a gonię się trzymam, co mi po rozumie, jak sposobu nie mam!"

Rozumienie Grzegorzowa uważa i „rozum" i „sposób", wedle swego wyrażenia, nie tylko wedle własnego jej rozumienia, ale i wedle zdania całego sąsiedztwa. Wszystka biedota z całej najbliższej okolicy radziła się Grzegorzowej we wszelakich sprawach: czy korale sprzedać czy zastawić, czy Kaśka ma iść za mąż za trafiającego się jej gdowca, czy nie, czy dziecko ochrzcić Janem czy Piotrem, czy kupić perkalu, czy z satyny, lub płótna albo zapaski, co znaczył jakiś sen, i t. d. Grzegorzowa była dumna do pewnego stopnia na swój rozum i

—1—

nieraz opowiadała jakich rad
udzieliła temu i owemu, ale dru-
ga była słusznie nieprawdli-
wioną, bo wszyscy rozsądnie ra-
dziła i wszyscy uznawali ten roz-
sądek i powagę jej rady.

Nie brakło jej i energii. Raz o-
powiadała mi, jak w szpitalu u-
marł mąż dalekiej jej krewnej, ~~to~~
~~raz drugi~~ pierwszej swej żony, a
drugi raz żonaty z obcą jej kobietą.
„Pijak był, a ona (druga żona) nie-
gospodarna. Myślę sobie, ona wszystko
zmarnuje, a na dziecko nie będzie
miała. Pytam go: a gdzie pieniądze?
(Ale wtedy, kiedy jej nie było) a on:
za obrazem na ścianie. Więc wzięłam
dwóch świadków i hala do jego mieszka-
nia. Znaleźliśmy sto rublach
za lustrem, złożyłam je do Kasy
Oszczędności dla Józka (syna owego

zmarłego w szpitalu) — ale jej ani słowa. „Oto ćwierćka, jak chłopak będzie potrzebował, to mu narośnie jeszcze procentu". Chłopak ten był u szewca, a potem powędrował do Morawskiej Ostrawy na robotnika, wreszcie został kom. kelnerem. Czasem odwiedzał Grzegorzowę, pisał jej listy na imieniny, dostawał od niej czasem procenta, a gdy chorował ~~posłała mu~~ prosiła mię, aby mu posłać „z jego ćwierćki" 10 zł — wreszcie na prośby wydała mu całą ćwierć-kę. Nie wielu ludzi zadałoby sobie tyle trudu i (nie) wierzymy z taką sumiennością pilnowaliby grosz cudzy, zwłaszcza ze sfery uboższej, narażonej na pokusę wzięcia grosza w pilnowaniu (łatwego) trzymanego.

Z oszczędności i datków uzbierała sobie Gregorowa nieco grosza „na starość". Dałem jej skrzyneczkę w której schowała ten majątek w moim pokoju. Procent przyrastał jej na książ-żeczkę Oszczędności, bo kapitaliku tego nie potrzebowała naruszać, mając dostatecznie na swe skromne potrzeby dochód z obsługi i datków za posyłki, z prezentów na imieniny w formie spódnic, chustek i.t.d. Dumna też była, że „człowiek nie dbał, bo ma zapracowany przyodziewek, jak się patrzy!" W niedzielę stroiła się w świeżą spódnicę, chustkę czerwoną bo w cieplu na głowie starszą. Prawdziwą miała przyjemność, gdy z niedzieli popołudniu szła wysztrojona na nieszpór. W wielkie święta wdziewała białą szwankową chustkę

[w ręku różaniec i książkę do nabożeństwa.]

na głowę, ogromne korale na szyję i kilka zmarszczonych spódnic, na wierzch stary szal turecki". „Ale pod feretronu nie noszę, niech ta młodzi stawią, tylko ze świecą idę na procesyą". Do bractwa u św. Piotra należała przez lat 40 i nigdy z opłatą nie zalegała, jak świadczyła zniszczona stara książeczka jej wpisowa. Raz do roku „bractwo" odbywało zgromadzenie, po którem była „konsolacya" tj. członkowie dostawali po kieliszku wina, lub szklance piwa i bułkę z pieczenią kosztem kasy brackiej. Grzegorzowa prezydowała w obec. piwnicy ~~[illegible]~~ niedaleko kościoła. Św. Piotra ze starymi kamienicz-kami i starymi bramami", a skromna ta zabawa zostawiała wspomnienie na parę tygodni. Za rok znowu

coraz częściej wspominała, że nie długo
będzie „Konsolacya" – oczywiście nie.
szło jej nie o picie lub jedzenie, którego
jej nie brakło, ale to uroczyste zgro-
madzenie i uznanie, jakiem ją
otaczano na Konsolacyi.

Mimo późnego wieku zachowała
zupełną ostrość umysłu, nigdy o
niczem nie zapominała, punktualna
jak zegarek, rozsądna, że można
było zwierzyć jej każdy interes. Ku-
powała nieraz na polecenie przedmioty
mniej jej znane, a jednak wedle po-
lecenia dobrane, tylko kupując wy-
mawiała sobie, że jakby się nie podo-
bały, albo były za wielkie, lub za małe
np. kalosze, koszule itp. to może od-
mienić. Słowem była każdemu po-
żyteczną, usłużną i prawdziwie rozsądnym,
pewnym posłańcem i pośrednikiem.

./.

Tylko wskutek pamięci dawnych lat w zmarłej części powstaje u niej w niepamięci. Z lat dawnych wspomnienia tylko najważniejsze wypadki, jak wielką burzę w Czermnikowie w jej dziecinnych latach, pożar Krakowa z r. 1850, chorobę i śmierć jej chlebodawcy śp. Dubrawcza, oraz parę zdarzeń, które jej utkwiły w pamięci, których chronologii jednak dokładnie nie zapamiętała. I nic dziwnego, bo pracując od rana do nocy nie miała nigdy czasu do refleksyj, czasem tylko wciągnięta w rozmowę sięgała dorywczo do wspomnień. Choć w twardej szkole życia przebywała, bo przy ciężkiej pracy, zachowała delikatność serca, dobroć i litość, nieraz wstawiała się za biednymi, gdy była po temu sposobność. Gdy chciałem stare

ubranie dać stróżowi, zauważyła Grzegorzowa: „ten blacharz na Gołębiej ma 9 dzieci, to bieda u niego, może by lepiej dać jemu" – na co się oczywiście zgodziłem. Gdy ~~stary stróż~~ wdowa po dawnym stróżu chorowała na Kleparzu, odszukała ją i nosiła jej pożywienie i wsparcia od ~~gospodyni~~ właścicielki domu.

~~Tyle~~ Jestto udziałem ludzi na wyższym stanowisku społecznym, że oni tylko zostają w uznaniu i pamięci, im tylko piszą nekrologi i wspomnienia. A jednak ~~ta pr~~ ta poczciwa Grzegorzowa, pracująca od rana do nocy, wszystkim pożyteczna, litościwa, nigdy posługi nie odmawiająca, chociaż za to nie mogła nic dostać – przecież zasługuje na wdzięczne wspomnienie i uznanie.

W jesieni 1901 w czasie procesyi

Rozdaniowej ohropu była pogoda. Wiedziałem, że nie namówię jej, aby nie wychodziła, więc prosiłem ją tylko, aby wyszła na krótko i wracała. Ale pobożna Grzegorzowa wytrwała do końca procesyi, a na drugi dzień popadła w zapalenie płuc z zaziębienia.

W malutkiej izdebce na ulicy Śgo Jana w Kąsiku spoczęła na łożu choroby zgarbiona Grzegorzowa... Żałość i współczucie otoczyły ją staraniem. Po 2 tygodniach polepszyło jej się nieco, ale przedwcześnie wstała z łoża, i po raz drugi zwaliła ją choroba. Z boleścią wspominam tę chwilę. Spoczęła w Panu 5 grudnia 1901.

Na cmentarzu Krakowskim, ~~na~~ alei na lewo idąc ku grobowi Matejki kazałem na mojem

/.

Jej wiecznego spoczynku pokrywa płyta kamienna z napisem „Poczciwa Grzegorzowa." Za życia nosiła nazwisko: Anastazya z Mikowskich 1° Waszkowa 2° Sparyńska.

Nie chcąc jej trapić myślą o śmierci nie nagliłem jej do testamentu, a gdy raz zapytałem z lekka o to, rzekła: „Pan tam będzie wiedział co zrobić z pieniędzmi" — więc pozostałość jej około 800 zł — ~~za~~ ciężki owoc jej pracy 50-letniej — złożyłem do depozytu sądowego na rzecz jej niewiadomych krewnych.¹)

Oby jej ziemia lekką była.

Klemens Bąkowski

¹) Którzy potem się znaleźli i spadek odebrali. Bąk.

IV